◆ BRATNY ◆ KOWALSKA ◆ PIECHAL ◆ ROGOWICZ ◆ SWINARSKI ◆ SZEWCZYK ◆ ŻUKROWSKI ◆



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 30 maja 1948 r. | Nr 22 (183)

CZY DWUGŁOS JEST MOŻLIWY?

JULIEN BENDA

Republika i klasa robotnicza

Obecna postawa Republiki wobec komunistów równa się oczywistemu samobójstwu. Republika wtedy jedynie może sobie poradzić z reakcją, jeśli się oprze na masach robotniczych Zrozumiał to Waldeck Rousseau[1]), który — jak stwierdza nasz kolega po piórze z „Le Monde'u“, p. Rémy Roure — nie dopuściłby nigdy partii, związanej z Kominformem — czytaj — partii międzynarodowej. A przecież jednak to uczynił — socjaliści 1900 wyraźnie byli taką partią — choć reakcja nie ustawała w swoich przeciw nim zarzutach, jak i przeciw ministrowi, który ich przyjął, ocalając w ten sposób régime.

Nie da się zaprzeczyć, że klasa robotnicza uważa się za przerastającą granice siłę realną, której interesy górować mogą nad interesami narodu. Już Renan w „Listach do Straussa“ mówił o tych ludziach — nie chcąc ich bynajmniej za to piętnować — dla których kwestie ekonomiczne są świętością i leżą im bardziej na sercu niż egotyzm narodowy. Nie dostrzega się jednak, nie chce się dostrzec, że klasa mieszczańska robi zupełnie to samo, przyłączając się — jakkolwiek mniej otwarcie — do międzynarodówki kapitalistycznej, jak tamta do międzynarodówki proletariatu; że gdy jedna — jak się utrzymuje — gotowa jest oddać Francję pod rozkazy Moskwy, druga pragnie jedynie zrobić to samo z Waszyngtonem; że wezwaniu „Manifestu Komunistycznego“: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“ — przeciwstawiła hasło: „Kapitaliści wszystkich krajów łączcie się“. Ta właściwość wynoszenia klasy ponad naród zaznaczyła się już niejednokrotnie u burżuazji francuskiej; w 1815, kiedy z uznaniem przyklaskuje Świętemu Przymierzu, które wydając nasz kraj pod nadzór obcych, zastrzegło sobie równocześnie natychmiastową interwencję, na wypadek gdyby Francja zdradziła ochotę powrotu do zasad równości; nazajutrz po 1870, kiedy zaklina Bismarcka, by bronił jej przed Republiką i nie opuszczał naszych ziem; bardzo niedawno temu przez swych „kolaboracjonistów“, którzy godzili się wydać naród w ręce nieprzyjaciela, uosabiającego w ich oczach przedmurze przeciw komunizmowi, straż ich bastionów.

Pójdźmy nieco dalej i przyznajmy, że nawet u większości patriotów uczucie narodowe potrąca dziś o namiętności klasowe. Staje się oczywiste, że przeważająca część ludzi Oporu pracowała dla wyzwolenia Francji z niezachwianą nadzieją, że, gdy wreszcie będzie wolna, ustanowią w niej ustrój korzystny dla ich klasy. O taką ukrytą intencję oskarżano komunistów, którzy się zresztą nie kryją, że rzeczywiście utożsamiali wydźwignięcie się świata robotniczego z wydźwignięciem swoich krajów. Okazało się, że tkwiła ona też głęboko w ludziach Oporu prawicy. Dziś dostrzega się ją również jaskrawo — najbardziej zagorzali obrońcy jego „nieskalaności“ się z tym zgodzą — u ich przywódcy, generała de Gaulle'a.

Nie łudźmy się: dwa „bloki“ powstające teraz przeciw sobie we Francji, to dwa bloki k l a s o w e, każdy ze swoją międzynarodówką. Jeden mówi to wyraźnie, drugi nie, co nie zmienia postaci rzeczy. Zdaje się zresztą, że ludzkość powinna być odtąd — przynajmniej przez pewien czas — świadkiem jedynie wojen klasowych. Jeśli, być może było by przesadą utrzymywać za Marxem, że historia nie znała w ogóle innych wojen — to chwila obecna zdaje się to najzupełniej potwierdzać. Wojna, która by wybuchła w przyszłości, a o której myśli cały świat, miałaby wybitnie charakter wojny dwóch klas. Zapory, oddzielające ludzi na powierzchni kuli ziemskiej nie są już pionowe, są poziome; właściwie jest już tylko jedna, ta, która dzieli posiadaczy od reszty.

Nasz kolega po fachu z „Franc-Tireura“ w swym szlachetnym artykule przeczył kiedyś istnieniu antagonizmu m i ę d z y n a r o d a m i, który by wynikał — zdaniem zainteresowanej propagandy — z obecnego konfliktu rosyjsko-amerykańskiego. Czy zaprzeczy również antagonizmowi m i ę d z y k l a s a m i, którego ten konflikt jest wyrazem?

✤

Francuz musi dokonać wyboru między tymi dwoma blokami klasowymi i ich przejawami na francuskiej ziemi. Słówko na temat tych, którzy się uchylają, śpiewając psalmy — w ich kaplicy sykstyńskiej — pod batutą Leona Bluma: „Odrzucamy wszelką dyktaturę, zarówno lewicy jak i prawicy; tak komunizm, jak i de gaullizm“.

Takie stanowisko niepozbawione jest, być może, piękna z punktu widzenia absolutu — słowa, które oznacza odcięcie się od rzeczywistości. I w rzeczywistości nie ma już dla niego miejsca, a jego wyznawcy, przypominają pewną partię, o której mówiono za Restauracji, że jej członkowie będą wszyscy odbywać posiedzenia na kanapie. Dodajmy, że wbrew chęciom (przyjmijmy, że te są szczere), stawia na partię silniejszą czyli, jak na razie, na tę z prawicy — już przez to samo, że nie chce jej osłabić łącząc się z drugą. Ta znów bardziej niż kiedykolwiek jest w prawie zarzucać wyznawcom tej linii, jeśli chcą uchodzić za lewicowców: usuwać się, to znaczy zdradzić.

Nie po raz pierwszy nasi demokraci znaleźli się wobec dwu autorytatywnych, występujących przeciw sobie doktryn i wydają się wzbraniać przed opowiedzeniem się zarówno za jedną z nich, jak i za drugą. Było tak za czasów sprawy Dreyfusa, kiedy to naród był podzielony na partię skrajnej prawicy i lewicy, w rzeczywistości kierowanej przez socjalistów. Ówcześni demokraci nie przybrali bynajmniej postawy wyniosłej powściągliwości Buridanowego czworonoga[2]), ale opowiedzieli się za bezkompromisowością lewicy, uważając, że mniej wykroczyła przeciw ich zasadom niż jej przeciwniczka. Dziś postanawiają pozostać wierni swemu ideałowi metafizycznej wolności (wciąż zakładam ich szczerość) i godzą się umrzeć jak przysłowiowy osiołek między dwiema wiązkami siana. Chciałem właśnie powiedzieć, że to ich sprawa, o ile to samobójstwo nie wzmocni raz jeszcze partii, zmiażdżenia której powinien sobie życzyć każdy republikanin.

To stara śpiewka tych ostatnich Sabinek, że zajmując stanowisko pośrednie między dwiema walczącymi stronami stają się czynnikiem pacyfikacji stosunków. Przychodzi na myśl zdanie, które przepisuje się Wiktorowi Hugo z czasów wojny 1870: „Znalazłem sposób, żeby położyć kres tej rzezi — miał oznaimić swoim przyjaciołom ten nieprzeciętnie romantyczny poeta. — Ustawiam się między dwiema armiami. Zabijają mnie. I wojna jest skończona“. — „Skończona jest dla pana“ — odpowiedziałby na to realista.

✤

Zaprawdę, wojna, która dzieli dziś Francuzów, nie musiała czekać naszych czasów, żeby być wojną klas; te wszystkie wojny, które rzucały ich przeciw sobie od stu lat, to były w gruncie wojny między dwiema klasami i Republika musiała się opowiedzieć za jedn bądź za drugą. Twórca Trzeciej nie omieszkał tego zrobić: „Republika— oświadczył wyraźnie Thiers będzie konserwatywna, albo w ogóle jej nie będzie“. Uważam, że dziś należy powiedzieć: „Republika będzie robotnicza — albo stanie się pod fałszywym mianem reprezentacją rządów oligarchii. I myślę o radzie pewnego przeciwnika demokracji, który z swojego punktu widzenia okazał się niezwykle bystry. „Francja — pisał Jacques Bainville — to najbardziej reakcyjny kraj na świecie. Umiejmy to dostrzec i stańmy na czele ruchu“. Właśnie to zaczyna robić jej rząd przynajmniej w duchowym porządku rzeczy, jedynym, gdzie nasz biedny kraj ma jeszcze jakieś ruchy na szachownicy świata, pozostawiając troskę o resztę egzekutywie świeckiej, ot choćby Ameryce.

Julien Benda

[1]) Waldeck-Rousseau — francuski mąż stanu, 1899 — 1902 prezes rady ministrów, załatwił sprawę Dreyfusa, zapoczątkował we Francji politykę bloku lewicowego.

[2]) Buridan Jan (1300 — 1358) — scholastyk francuski, profesor Sorbony. Z jego nazwiskiem łączą popularną przypowieść o ośle ginącym z głodu pomiędzy dwiema wiązkami siana. Intencją tej przypowieści było unaocznienie wpływu przyczyn zewnętrznych na jednakowe i działały z równą siłą, biedny osiołek znalazł się bez wyjścia. Tego rodzaju poglądy na sprawę wolnej woli były źle widziane przez oficjalną doktrynę kościelną.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

O PTAKACH I TRAMWAJACH

W Warszawie bardzo wcześnie budzą się ptaki i tramwaje,
ja to przeważnie słyszę, ale bardzo rzadko wstaję.
No bo i po co? Ptaki wypędzać z gniazd?
Ja pójdę na Podwale,
na Nowy Zjazd,
albo nie pójdę wcale.
Ale jeśli kiedyś wstanę tak bardzo wcześnie rano,
nie pójdę na Mokotów, nie pójdę na Muranów,
ja pójdę na Plac Zamkowy
i na plecach
podniosę Zygmunta,
Żeby był nowy.

PSIE POLE

Bzy we Wrocławiu! Bzy we Wrocławiu!
Piękne bzy!
A pod Wrocławiem jest Psie Pole,
tam były psy.

Tych psów nie spędził król Krzywousty,
bo on się nie mścił,
ale psy same (ich brzuchy puste)
poczuły: niemcy.

I na Psiem Polu trupy niemieckie
Żarły psy...
Dziś we Wrocławiu niebo niebieskie,
kwitną bzy.

Dziś we Wrocławiu, Pierwszego Maja,
robotnicze święto, więc polskie...
A bzy wrocławskie niech Wrocław umają
i całą Polskę.

LAURENT CASANOVA

Dwugłos taki jest możliwy

To Aragon poddał myśl o możliwości wymiany zdań między komunistą a intelektualistą demokratą i patriotą. Zgodziłem się, uważam bowiem taką wymianę za pożyteczną, zarówno dla jednych jak i dla drugich i składam podziękowanie redakcji miesięcznika „Europe“, że na nią zezwoliła.

Wyraźne stanowisko, jakie zajął Julien Benda, odsłania komunistom podstawy polityki zjednoczenia republikanów i patriotów, do której są tak przywiązani, jakby to była jedyna istotna rękojmia, jaką rozporządza nasza Ojczyzna, jeśli idzie o jej przyszłość wolnego narodu. Odsłania ono przed nimi również bardzo realne możliwości wspólnego działania z tymi, którzy komunistami nie są i nie chcą nimi być. Wreszcie pozwala im bliżej poznać szczególne przyczyny pobudzające do działania tych intelektualistów, o których mówił w swoich artykułach w „L'Ordre“ z października ubiegłego roku Julien Benda. Z naszej strony pragnęlibyśmy, by ten artykuł był równie pożyteczny dla Julien Bendy i jego przyjaciół.

Do stwierdzenia Julien Bendy o koniecznych warunkach życia republikańskiego we Francji dorzucimy tylko jedno: jest to dowód umysłu obiektywnego i wyraz wiary kryjącej w sobie te przeświadczenia, którym ze swojej strony komuniści przyznali parę lat temu niezwykłą siłę pobudzającą. Ale uzasadnienia Bendy wydają się nam niedostateczne.

Rzeczywiście, Julien Benda stwierdza istnienie dwu antagonistycznych bloków klasowych w samej Francji i poza jej granicami. Dalej występuje przeciw hipokryzji, która ideologom domniemanej Trzeciej Siły — niby to wzbraniającym się przed wyborem — każe odgrywać rolę, która służy celom bloku reakcyjnego. Jego też zdaniem internacjonalizm proletariatu nie jest decydującą przeszkodą. Co więcej, rozważa go z pewną sympatią, powołując się równocześnie na wielkie przykłady z niedalekiej przeszłości. Rządzącym, gotowym zawsze wysunąć ten zarzut, czy tym, których zarzut podobny mógłby powstrzymać — Julien Benda powiada krótko: „Zarzucacie pracującym, że chcą zrobić to, coście sami już robili i to bardzo często“.

Słusznie, ale może się na tym skończyć, że tak przedstawiony argument gotów nie przekonać w innych okolicznościach, albo nie przekonać nikogo prócz Julien Bendy. I to jedynie dlatego, że nie odpowiada realnej treści polityki klasowej proletariatu francuskiego. Sądzimy, że przecież można znaleźć inne gwarancje, które dadzą lepszą rękojmię sojusznikom klasy robotniczej i trwalsze podstawy wewnętrznym stosunkom sojuszu.

✤

Prawdą jest, że działalność partii komunistycznej opiera się na zdecydowanej obronie interesów klasowych proletariatu, nie da się też zaprzeczyć, że „klasa robotnicza uważa się za siłę realną, przerastającą granice“. Ale Julien Benda daje nieco uproszczony obraz tych faktów. Zdaje się zatrzymywać raczej nad schematycznym układem powstających przeciw sobie sił społecznych, niż rozważać treść celów i przyczyn, które je ożywiają. Zadziwia to tym więcej, że o wiele bardziej rzeczowo zabrał się do sformułowania odpowiedzi, kiedy np. analizował treść klasową uczucia patriotycznego, wspólną wszystkim ludziom Oporu.

Możemy więc razem przeprowadzić bardziej gruntowną analizę.

Czy między obroną poszczególnych interesów, którego to zadania podejmuje się partia, a jej wolą, wyrażoną w czynie, bronienia całego pracującego ludu, łącznie z klasami średnimi — jest jakaś sprzeczność?

Czy jest sprzeczność między doktryną międzynarodową, do której się poczuwa partia komunistyczna a jej ambicją przemawiania w imieniu ogólnych interesów narodu?

Obchodzimy w tym roku uroczystość stulecia Manifestu Komunistycznego. Powróćmy zatem do tego, co powiedzieli na ten temat mistrzowie doktryny marksistowskiej. Manifest oświadcza:

„Robotnicy nie mają ojczyzny“.

I zaraz wyjaśnia:

„Proletariat każdego kraju powinien przede wszystkim zdobyć władzę polityczną, wznieść się jako klasa rządząca w narodzie, sam stać się narodem...“

Otóż, sam Benda to podkreśla, klasowe rewindykacje proletariatu francuskiego coraz silniej dążą do tego, by stać się ostatecznie wielką rewindykacją narodową. Analizując w istocie sens tej „namiętności klasowej“, która ożywiała ludzi Oporu, Julien Benda zauważa:

„O tę ukrytą intencję, oskarżano komunistów, którzy zresztą się z tym nie kryją, że w istocie utożsamiali wydźwignięcie się świata robotniczego z wydźwignięciem ich krajów“.

Co doprowadziło do tego naród francuski?

Przede wszystkim ograniczenia życia codziennego na tle pewnych charakterystycznych dla Francji form napaści reakcji. Następnie — własna zdolność organizacyjna i wartość poczucia klasowego, zdobytego pod kierownictwem francuskiej partii komunistycznej.

Groźba nędzy poniżającej człowieka zawisła nad klasą robotniczą i rozprzestrzenia się na inne klasy społeczne. W latach 1939 — 1944 klasa robotnicza miała się możność przekonać, że jej wrogowie uciekają się do obcej pomocy, jako ostatecznego środka — i że atak reakcji kryje w sobie zawsze groźbę ujarzmienia całego narodu przez zagranicę. Od paru miesięcy przekonuje się również, że egoizm klasowy jej wrogów może być aż tak wielki, iż nie tylko wynosi „klasę p o n a d naród“, ale wysuwa ją p r z e c i w narodowi. Czyż nie proponowała sama nazajutrz po Wyzwoleniu, skwapliwie, jak wiemy, przyjmując hasło produkcji, rzucone w Waziers w lipcu 1945 przez Maurice Thoreza — że odbuduje kraj w oparciu o własny wysiłek? Czyż od tego czasu nie szafowała rzeczywistymi dowodami dobrej woli nawet wtedy, gdy wróg się zawziął, by znużyć jej cierpliwość? Pomoc krajów przyjaznych i silniejszych byłaby na tym tle bardzo pożądana.

Otóż reakcja francuska wolała dla siebie nie tyle pomoc ekonomiczną zagranicy co warunki pomocy tej towarzyszące, o ile dawały jej niezbędne bezpieczeństwo.

Ale klasa robotnicza nie poddaje się biernie tym przeciwnościom. Przystosowuje się, wyciąga z nich naukę, aby w ten sposób zdobyć nowe i wzmożone środki do walki własnej. Walczy za innych jak i za siebie. Musi mówić i przemawia odtąd w imieniu ogólnych interesów narodu.

Otóż poczucie klasowe, jak przewidział Marx, popycha proletariat, żeby „sam stał się narodem“. Natomiast jeśli idzie o reakcję kapitalistyczną, poczucie klasowe spycha ją na pozycję z gruntu wrogą interesom narodu, wrogą nawet samemu pojęciu narodu. Pozwala to właściwie ocenić argument, którego ośmielił się użyć adwokat broniąc i usprawiedliwiając w niedawnym procesie zdrajcę Basompierre'a — powiedzieliśmy usprawiedliwiając nie uniewinniając. „Wszystkie wojny naszych czasów, to wojny ideologiczne“ — powiedział ten adwokat. To jest prawdą tylko wtedy, gdy zdradę narodową traktuje się jako ideologię. I jest bardzo znamienne, że można już zająć tego rodzaju stanowisko w Trybunale Sprawiedliwości.

✤

Taka ocena realnej treści polityki klasowej francuskiego proletariatu ma znaczenie bardziej ogólne.

Takie same czynniki różnie kształtowały bieg życia narodowego w wielu krajach kapitalistycznych, wynikiem tego są zmiany, unaoczniające się w krajach demokracji ludowej Europy wschodniej. One także wpłynęły na bieg życia publicznego w wielu koloniach, eksploatowanych dotychczas w względnym spokoju przez panów kolonizatorów.

Zatem, aby ocenić treść internacjonalizmu proletariackiego, właściwego naszym czasom, nie wystarczy twierdzenie, że klasa robotnicza umie być rzeczniczką wielkiej sprawy powszechnej, dlatego że jest klasą postępową, klasą przyszłości. Były już przed nią takie klasy czy grupy społeczne. Tu trzeba naszym zdaniem wyjść z obecnej treści internacjonalizmu proletariackiego.

Już Manifest wskazywał:

„Ponieważ proletariat każdego kraju powinien przede wszystkim stać się sam narodem, jest on jeszcze w tym sensie narodowy“ — w żadnym jednak wypadku w mieszczańskim znaczeniu tego słowa.

Ten pogląd nabrał właściwego kształtu, gdy sprecyzował go Lenin:

„Imperializm jest epoką kapitału finansowego i monopoli, które wszędzie przynoszą z sobą dążenie do panowania, nie do wolności. Reakcja na całej linii, niezależnie od formy régime'u“ i to stosuje się do rzeczywistości francuskiej, włoskiej, chińskiej, greckiej czy hiszpańskiej tak oczywiście, że nikt nie mógłby temu zaprzeczyć. Prawdą jest, że „demokracja“ amerykańska podtrzymuje na lufach armat Tsaldarisa, Franca, Czang Kai-Szeka i że p. Bullit z obalonego cesarza Bao Dai zrobił swego człowieka.

Prawo do swobodnego samostanowienia ludów, do wolnego rządu, do rzeczywistej niepodległości narodowej oto istotna treść internacjonalizmu proletariackiego naszych czasów. Wychodzi ona daleko poza ogólne interesy materialne i moralne, wspólne wszystkim robotnikom świata, nie „przerasta“ jednak pojęcia narodu. Przeciwnie, sprowadza się do niego, jako do koniecznego i przedwstępnego warunku.

Konferencja Dziewięciu partii komunistycznych, która zebrała się w Polsce, to podkreśliła. Trzeba na to tylko intelektualnej nieuczciwości takiego Maurice'a Schumanna, by założenie w Belgradzie stałego biura informacji komunistycznej przedstawiać jako ordynarny parawan dla wskrzeszonej Międzynarodówki komunistycznej. Powrót do form organizacyjnych i haseł dawnej Międzynarodówki byłby powrotem do form i haseł nie odpowiadających treści obecnego ruchu historycznego, to byłby krok wstecz.

Co więcej można by go interpretować jako uchylanie się komunistów od przyjęcia na siebie obowiązków i zadań, które ich własny lud im powierzył.

Belgradzkie biuro informacji jest tym, co powiedziała o nim deklaracja dziewięciu partii komunistycznych i niczym więcej.

Jeśli idzie o rozwiązanie Międzynarodówki komunistycznej, Stalin w odpowiedzi korespondentowi Agencji Reutera z dnia 28 maja 1943 r. między innymi podkreślił:

„Ułatwia ono patriotom krajów miłujących wolność dzieło zjednoczenia sił postępowych ich kraju, bez różnicy partii czy religii w jednym obozie wyzwolenia narodowego, ułatwia rozwój walki przeciw faszyzmowi“.

„Ułatwia ono patriotom wszystkich krajów dzieło zjednoczenia wszystkich ludów miłujących wolność w jeden obóz międzynarodowy do walki przeciw groźbie panowania na świecie hitleryzmu, przygotowując w ten sposób drogę zorganizowaniu w przyszłości braterstwa ludów, opartego na równości praw“.

Zdaje nam się, że przedstawione przez Stalina argumenty zachowały całą swoją aktualność.

Nie ma już międzynarodówki komunistycznej. Jest natomiast internacjonalizm proletariacki, który bardziej niż kiedykolwiek wierzy w „braterstwo ludów, oparte na równości praw“. I choć klasa robotnicza uważa się za siłę realną przekraczającą granice, już nigdy

(Dokończenie na str. 2-giej)

MARIAN PIECHAL

Leopold Staff jako tłumacz

Leopold Staff jako poeta przysłonił zupełnie i odsunął w cień siebie jako tłumacza. Tymczasem dorobek tłumaczeniowy Staffa tak ze względu na swą wartość jak ilość i znaczenie przełożonych dzieł sam przez się dawałby mu prawo do zaszczytnej pozycji w dziejach literatury współczesnej. Kazimierz Czachowski w bibliografii przekładów Staffa zestawionej w numerze (289 z r. 1929) jubileuszowym „Wiadomości Literackich", poświęconym poecie, wymienia ponad sto pozycji. Od tego czasu dorobek ten wzrósł znacznie o nowe ważne przekłady. Wśród tłumaczy polskich ostatnich czasów, takich jak Boy-Żeleński, Edward Porębowicz, Jan Kasprowicz, Miriam czy Tuwim, Leopold Staff zajmuje miejsce tuż zaraz obok Boya-Żeleńskiego. Ilością przekładów prawie mu dorównuje. Natomiast zasięgiem przewyższa go znacznie. Boy wyspecjalizował się w przekładach z jednego tylko języka, z literatury francuskiej i to przede wszystkim klasycznej — Staff przekładał dzieła z wielojęzycznego obszaru literatury światowej, od psalmów Dawida po utwory powieściowe Tomasza Manna. Słusznie więc PEN-Club Polski przyznał mu tegoroczną nagrodę za najwybitniejszą twórczość przekładową. Spośród dotychczasowych laureatów tej instytucji Staff jest niewątpliwie najbardziej zasłużony.

Myliłby się bardzo kto by sądził, że działalność przekładową uprawiał Staff na marginesie swej twórczości poetyckiej. Działalność przekładowa Staffa jest równoległa do jego twórczości oryginalnej, towarzyszy jej wiernie od samego początku, będąc niejako jej twórczym dopełnieniem. Pierwszy tom wierszy Staffa „Sny o potędze" ukazał się w roku 1901, pierwszy zaś przekład „Z wysokich gór" Nietzschego w 1902. Znamienne, że autor „Snów o potędze" przekładał właśnie autora teorii o nadczłowieku. Odtąd bez przerw wydawał po jednym lub kilka przekładów rocznie, a zachłanność jego nie znała, by tak rzec, granic czasu ani przestrzeni. Przekłady były jakby drugim życiem poetyckim Staffa, były obok bezpośrednich doznań z życia jakby posiłkowym źródłem jego inspiracji twórczej, doskonałym laboratorium doświadczenia estetycznego, niezawodną szkołą pragmatyki artystycznej.

Tak samo jak twórca dzieł oryginalnych każdy z tłumaczy ma swój odrębny styl, swą metodę, swe charakterystyczne chwyty, które go odróżniają od innych i cechują jego indywidualność. To, co nazywamy kongenialnością przekładu, polega na możliwie idealnej transpozycji treści i tak zwanego „ducha" dzieła tłumaczonego na język przekładu z tym, aby z tego języka z jego naturalnych właściwości i przyrodzonych cech nie czynić żadnych ustępstw, żadnych odchyleń na rzecz dokładnego oddania prawdy dzieła tłumaczonego. Przekład nie może być dosłowny — nie może być także tylko parafrazą czy też przybliżeniem. Musi być zachowana idealna niemal równowaga między duchem dzieła a duchem przekładu. Oczywiście pokrewieństwa języków i narodów dzieł tłumaczonych ułatwiają walnie tę równowagę i harmonię, również chronologia sprzyja temu — wiadomo, że łatwiej jest przełożyć dzieło współczesne, choćby nawet z literatury chińskiej lub malajskiej, niż staroegipskie lub babilońskie i to niekoniecznie ze względu na odrębność języka, lecz obcość tego właśnie „ducha" owych dzieł praantycznych.

Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że Staff przekładał dzieła nie tylko współczesnych sobie pisarzy, jak Tomasza Manna, Romain Rollanda, Knuta Hamsuna, Gabriela d'Annunzia, C. Mauclaira i Rabindranatha Tagore, ale także Goethego, Spinozy, Leonarda da Vinci, Petroniusza, Epikura, poetów chińskich i Dawida zdamy sobie w przybliżeniu sprawę z miary jego kongenialności jako tłumacza.

Zasadą Staffa w trudzie przekładowym stała się jak gdyby dewiza Norwida: „Zniknąc we wykonaniu dzieła". Najmniej pokazać siebie jako tłumacza, najwięcej autora dzieła tłumaczonego. Stąd pozorna bezstylowość przekładów Staffa, gdyż styl ten jest każdorazowo taki, jakiego wymaga dzieło tłumaczone. Zdolność mimikry staje się w tym wypadku poręczeniem wierności przekładu jego kongenialności. W ten sposób brak z góry określonego stylu staje się w swej różnorodności przystosowawczej niewymiernym bogactwem tegoż stylu, posiadającego tyle odmian, ile dzieł i autorów tłumaczonych. Zaznaczyć przy tym należy, że Staff przekłada biegle i wiernie nie tylko dzieła poetyckie i beletrystyczne, gdzie dowolność przekładu może być ewentualnie zrekompensowana wkładem własnej poetyckiej inwencji, lecz przekłada także dzieła ściśle naukowe i filozoficzne, jak „Wielkość i upadek Rzymu" Guglielma Ferrera lub fragmenty z rozpraw Spinozy, gdzie właśnie ta wierność, po prostu dosłowność kosztem zupełnej rezygnacji z siebie jako tłumacza o pewnej manierze stylu jest obowiązująca. W przedmowie do przekładów poezji Michała Anioła, Staff w nader skromnych słowach określa swoje zadanie jako tłumacza: „Starać się oddać jak najwierniej i najjaśniej treść utworu, nie pozwalając sobie na żadne „poprawianie" autora, i trzymać się w granicach ilości słów oryginału, zachowując właściwości stylu i maniery epoki, miarę rytmiczną i profil rymowy". Ta zwięźle wypowiedziana, prosta zasada przejawia się we wszystkich przekładach, dokonanych przez jej wyznawcę.

Dla potwierdzenia jej prawdziwości wystarczy przytoczyć wiersz Michała Anioła w przekładzie Staffa i Norwida. Staffa przekład brzmi:

„Sen cenię, głazem być jest lepszym losem
Póki zło z hańbą w świecie się panoszą.
Nie widzieć, nie czuć jest dla mnie rozkoszą,
Przeto mnie nie budź, cyt! mów cichym głosem".

Zaś Norwid ten sam wiersz przekłada w następujący sposób:

„Słodko jest zasnąć, słodziej być z kamienia
Dziś, gdy tak wiele hańb i poplamienia;
Nie czuć, nie widzieć, leżąc jak w mogile —
Cóż z tak uroczą porównałbyś nocą?
— Przeto, zaklinam, ucisz się na chwilę,
Mógłbyś przebudzić mię... na co? i po co?"

Widzimy, że przekład jest bardziej artystyczny chociaż mniej wierny, raczej więcej Norwidowy niż Michałaniołowy — ależ to nie przekład, tylko parafraza, w najlepszym wypadku przekład wolny, nie liczący się zupełnie ani z ową staffowską „granicą ilości słów", ani z „miarą rytmiczną i profilem rymowym", nie mówiąc już o zachowaniu „właściwości stylu i maniery epoki". Odczuwamy, że przez wiersz ten wypowiada się więcej Norwid niż Michał Anioł.

Jeszcze bardziej tę różnicę między wiernością dla oryginału u Staffa a dowolnością u innych tłumaczy zilustruje przekład zakończenia poematu Benvenuta Celliniego o więzieniu z finału pierwszej księgi jego pamiętników. Przekład Staffa brzmi:

„Gdy utracili nadzieję, do strawy,
Aby mnie otruć, diament mi roztarty
Na proch wsypali, wyjęty z oprawy.

Napocząć każę karm łotrowi z warty,
Co jeść mi nosił, rzekłem wtedy: „Wierę,
Więc nie Durante to, mój wróg zażarty".

Na Boga myśli obróciłem szczere,
Prosząc go, aby przebaczył mi winy
I odmówiłem, płacząc, miserere.

Gdy ukoiły się bólu głębiny,
Gotowy duszę dać Bogu, gdy woła,
Rad w żywot inny iść, w lepsze dziedziny:

Ujrzałem z palmą chwalebną anioła,
Z nieb schodzącego, i byt mi padolny
Dłuższy przyrzeka jego wieść wesoła.

I rzekł: „Bóg ciebie od wojny mozolnej
Z przeciwnikami uwalnia wszelkimi.
Będziesz szczęśliwy, wesoły i wolny,

Przez łaskę Ojca Niebiosów i Ziemi".

rys. Teresa Czartoryska

Proszę teraz zauważyć, ile w przepięknym „przekładzie" tego samego fragmentu przez Norwida jest opuszczeń, dowolności i przeinaczeń:

„Aż gdy nadzieje ich zmyliły krwawe,
Dyjament zbity wmieszano mi w strawę.
Tu — że poznałem w kruszynach kryształu
Nieprzyjaciela twarz, śmierć mi pobladła
I już pragnąłem jej, jak ideału,
I wpatrywałem się w nią przez zwierciadła...
Lecz wpierw, ze łzami mówiąc psalm pokutny,
Jam się przemodlił w radość — ja, tak smutny,
Prosząc, ażeby grzech mój był zgładzony
I abym czysto w czyste odszedł strony —
Tak, że ból czując ukojon przez psalmy,
W omdleniu jasny liść mi zabłysł palmy,
A kształt anielski, który ją piastował,
Nadzieją życia znowu mię darował,
Ciesząc, iż złego sąd jest niedaleki,
A miłosierdzie Pańskie trwa na wieki..."

Kto ciekawy, może porównać jeszcze staffowski przekład Dawidowego psalmu 89, owej słynnej Modlitwy Mojżesza, z odpowiednim przekładem ks. Wujka, Jana Kochanowskiego i Norwida, aby zrozumieć, dlaczego katolickie wydawnictwo „Verbum" przed wojną powierzyło Staffowi przekład w całości „Księgi Psalmów" Dawida, podobnie jak średniowiecznych sekwencji, drukowanych w każdym numerze przedwojennego kwartalnika pod tymże tytułem.

Ale na wierności przekładów nie kończy się rola Staffa jako tłumacza. Niezmiernie ważną rzeczą są także komentarze jego do dzieł przekładanych, wszelkiego rodzaju noty, odnośniki, przypisy i objaśnienia, tudzież przedmowy i wstępy, zawierające nieraz w syntetycznym skrócie całą skomplikowaną często odkrywczą wiedzę o dziele lub jego autorze, jak to mamy w przypadku „Poezji" Michała Anioła, a zwłaszcza „Pism wybranych" Leonarda da Vinci, ostatnio zaś „Żywota własnego" Benvenuta Celliniego. Zdaje się, że to, co w przedmowie do swoich przekładów powiedział Staff o Michale Aniele jako poecie i Leonardzie da Vincim jako pisarzu jest wydatnym pomnożeniem dotychczasowego dorobku wiedzy o tych autorach i ma podobnie prekursorskie znaczenie jak niektóre przedmowy Boya do jego przekładów z literatury francuskiej.

Tego co Staff pisze o poezji Michała Anioła, nie znajdziemy w żadnej znanej nam monografii o tym tytanicznym rzeźbiarzu Renesansu. Posłuchajmy: „Michał Anioł jest do dziś dnia, nawet w ojczyźnie swojej prawie nieznany jako poeta. Światu rzucił fenomenalne dzieła plastycznego swego geniuszu. Poezje swoje zachował jedynie dla siebie. Są one przejawem jego życia najosobistszego i w kolejności swojej są naocznym obrazem jego duchowego rozwoju. Jest to nieoszacowany pomnik i pamiętnik najtajemniejszej istoty Michała Anioła. Żadne z dzieł jego nie mówi nam tak wiele o nim jako o człowieku. Najlotniejszy, najgiętszy zda się materiał, jakim jest słowo, był opornięjszy dla dłoni artysty niż marmur, który tak mistrzowsko opanowywała. Mowa jego kuta jest twardym młotem, którego nadmierny udar rani jej gładkie płaszczyzny i miażdży misterne załomy.

Natłok myśli i obrazów, nie dających pomieścić się w ciasnej ramie zamierzonej formy, wytwarza skurcze okresów i zbitki zdań, które wtłaczają się w siebie, plączą i gmatwają w sposób nierozwikłany, czyniąc wrażenie czegoś, co chce się z siebie dopiero urodzić. Czasem twardzizna i ciężkość wyrazu, tytańskie nagromadzenie słów, połamanie składni, porwanie związku poszczególnych elementów, wpada w nieporadność i zakłopotanie nieudanego ćwiczenia, czasem potężny tragiczny stan ducha, przez klątwę rymu, przechodzi w igraszkę i koncept, wobec którego stajemy niepewni i zmrożeni i rozpęd pozostaje poniżej swego zamierzenia, ale jak często jednak od razu wzięty mistrzowsko akord organowy rozwija się i rozprzędza w arcydzielną tkaninę muzyki i myśli, kończąc się doskonałą harmonią przedziwnej mocy, pełni i głębi".

Ten przydługi nieco cytat ilustruje doskonale trud tłumacza, jak również charakteryzuje w sposób jedyny formę poetycką Michała Anioła.

Podobnie entuzjastyczny charakter mają: przedmowa Staffa do jego przekładu „Kwiatków świętego Franciszka z Assyżu" oraz niektóre z przypisów do „Liryków francuskich od XII-go do XX-go wieku". Te przypisy zresztą łączą w sobie wspomniany entuzjazm poety z chłodnym umiarem naukowca. Inny całkiem charakter noszą przedmowy i przypisy Staffa do przekładów dzieł naukowych, publicystycznych i pamiętnikarskich, jak np. „Pisma wybrane" Leonarda da Vinci, „Uczta Trymalchiona" Petroniusza lub „Żywot własny Benvenuta Celliniego. Panuje w nich właśnie ów powściągliwy umiar naukowca, chłodne spojrzenie badacza i zwięzły argument komentatora. Mówi wtedy o Leonardzie da Vincim jako pisarzu, że „język jego, nie znający jeszcze ustalonej terminologii naukowej, przebijający się dopiero ku precyzji wyrazu, nie dba o piękny styl i okrągłość okresu, ma jednak czar i świeżość wschodu gwiazd i narodzin kwiatów", a o Benvenucie Cellinim jako pamiętnikarzu, że „w życiorysie swoim, jednym z najznakomitszych dzieł literatury pamiętnikarskiej, podjął ten homo illiteratus dzieło pisarskie, w którym odtworzył w sposób mistrzowski przebujne, współczesne życie, dopełniając opowieść o wypadkach i zdarzeniach zewnętrznych mimowolnie najszerszym wyjaśnieniem tajemnic psychiki i osobowości pisarza". Są to konstatacje nowe i odkrywcze i ktokolwiek chce mieć pełny obraz wspomnianych autorów nie może powyższych sądów Staffa o nich pominąć.

Niektórych przekładów dzieł naukowych, filozoficznych i literackich, dość jasnych samych przez się, Staff nie opatruje żadnymi wstępami czy komentarzami, jak np. „Wielkość i upadek Rzymu" Ferrera, wybory z pism Demokryta, Epikteta, Epikura, Heraklita, sofistów greckich, Spinozy, Diderota, „Psalmy" Dawida, „Złota Legenda" Jakuba de Voragine'a, „Cierpienia młodego Werthera" i „Elegie rzymskie" Goethego, przekłady utworów francuskich Zygmunta Krasińskiego, Prospera Merimée'go, Romain Rollanda, Claude Aneta, Simony Bodève, Wiktora Margueritte'a, „Pieśni Bilitis" Piotra Louysa, włoskich de Amicisa, d'Annunzia i Grazii Delledy, niemieckich Tomasza Manna (w zbiorze „Pan i jego pies"), Emila Ludwiga, Franciszka Werfla, Augusta Strindberga, Jakuba Wassermana i Gerarda Hauptmanna, skandynawskich Knuta Hamsuna, Selmy Lagerlöf, J. P. Jacobsena, H. Pontopidana, Marty Ostenso, Johana Bojera i Gunnara Gunnarsona, hinduskich Rabindranatha Tagore, nie mówiąc już o chińskich lirykach, dostępnych zapewne tłumaczowi za pośrednictwem przekładów niemieckich i francuskich.

Nie są to z pewnością wszystkie pozycje przekładowe Leopolda Staffa. Wyliczone powyżej mają jedynie ilustrować zasięg i rozmiar włożonego w nie trudu pisarskiego, który jest wcale nie mniejszy niż jego trud poetycki, i który to trud każe nam w największym dziś niewątpliwie poecie polskim uczcić równie wielkiego i zasłużonego tłumacza dzieł obcych.

Marian Piechal

Niedyskretne wspomnienia

Na co Blasco Ibanez czekał po śmierci?

Zaczęło się to wszystko na czarno...

Papier i koperta listu, w którym pani Elena Blasco Ibanez wyrażała zgodę na wizytę nieznanego jej polskiego literata, rekomendującego się tylko podzielaniem poglądów politycznych jej męża, miały na sobie obwódkę żałobną szerokości palca. Wdowa po znakomitym hiszpańskim powieściopisarzu, republikaninie i nieprzejednanym wrogu Alfonsa XIII, zmarłym na wygnaniu we Francji w 1928 r., była tak uprzejma, że dała mi do wyboru trzy dni, kiedy będę mógł ją zastać w willi „Fontana Rosa" w Mentonie. Służący, który przywiózł mi ten list do pobliskiej miejscowości Cap Martin, gdzie wówczas — latem 1930 — mieszkałem, był w nieskazitelnej czerni. Czekał na odpowiedź, kiedy przysłać auto. W umówionym dniu zawiózł mnie czarny Buick z szoferem w czarnej liberii przed kutą w żelazie bramę wielkiego parku w Menton — Garawan, przylegającego swymi tarasami niemal bezpośrednio do granicy włoskiej.

rys. Teresa Czartoryska

Służący, który towarzyszył szoferowi, okazało się był potrzebny nie tylko dla hiszpańskiej etykiety. „Fontana Rosa" — to wspaniała rezydencja, składająca się z szeregu budowli (oddzielny pawilon — biblioteka w kształcie wieży, oczywiście z windą, pawilon — kino domowe itd). Mój przewodnik, mówiący twardą francuszczyzną — był Hiszpanem — zaprowadził mnie aż do progu saloniku, gdzie w czarnej sukni mimo upału oczekiwała mnie pani domu południowa Amerykanka, druga żona autora „Czterech jeźdźców Apokalipsy", rodem z Chile, osoba jeszcze młoda, bardzo naturalna w obejściu, swobodnie mówiąca po francusku.

Wiedziałem ze słyszenia, że Hiszpanie są bardzo gościnni. Pani Blasco Ibanez, pielęgnując tradycje domowe swych hiszpańskich przodków, miała zarazem kult dla Walencji, rodzimej prowincji swego męża. Liczne tego dowody podczas mej godzinnej wizyty, rozpoczęła niemal zaraz po wymianie wstępnych grzeczności „lampka wina" — ale jakiego wina! Czarne było jak smoła, mocne, przedziwnie aromatyczne. „Nigdzie pan tego wina poza Hiszpanią nie dostanie. Wincenty sprowadzał je z Walencji" — mówiła z dumą której nie powstydziłaby się i rodowita „walansjenka".

Przyniosła ten nektar, czarno oczywiście ubrana, czarna, chuda hiszpanica z wąsami i szpicem brody i spojrzała na mnie wilkiem, słysząc mowę francuską. Na moją trochę zdziwioną minę — pani Ibanez odpowiedziała z uśmiechem, gdy czarownica sobie poszła: „To jest dawna gospodyni Wincentego. Nienawidzi Francuzów. Mówi tylko po hiszpańsku i to dialektem Walencji. Z przywiązania do Wincentego też nienawidzi Alfonsa choć jest gorliwą katoliczką i monarchistką. To też jest dramat. Nieznośna — ale to jest pamiątka po moim mężu i żywa obecność jego bliższej ojczyzny".

Gdy po drugim i ostatnim kieliszku wyszliśmy do parku, przy zwiedzaniu biblioteki było mi trochę wstyd za nędzną szatę wydawniczą polskich przekładów powieści Ibaneza — w zestawieniu nawet... z czeskimi i fińskimi. Z satysfakcją więc przyjąłem propozycję obejrzenia „ogrodu powieściopisarzy", niedokończonego wskutek śmierci — przeżył lat 59 — gospodarza, posiadacza milionowego majątku w ostatnich latach życia, z wydań książkowych filmów w Ameryce.

Na tle grup zieleni i kwietników zostały tu rozmieszczone stele z brązowymi biustami: Dickensa, Flauberta, Zoli, Dostojewskiego (w projekcie, który wdowa zamierzała zrealizować było jeszcze kilku pisarzy). Dominujące z natury rzeczy miejsce zajmuje wspaniały pomnik Cervantesa z białego marmuru: za cokół jego służy okalająca do połowy basen z błękitnej majoliki półokrągła ściana, wyłożona setką biało-szafirowych fajansowych tafelek, z których każda przedstawia jakąś scenę z „Don Kichota". Ceramikę tę wykonała na zamówienie Ibaneza Walencja.

Gdy Pani Elena zaczęła mówić o chorobie i śmierci męża — w związku ze sprawą biustu Ibaneza na skwerze w Mentonie, utrąconą przez prawicową radę miejską — zapytałem, gdzie jest pochowany.

Usłyszałem taką odpowiedź:

— Ostatnią wolą Wincentego było, żeby jego szczątki zatrzymać we Francji, dopóki Alfons XIII nie będzie wygnany z Hiszpanii. Nie chciał spoczywać w ziemi ojczystej póki jest ona monarchią. Spełniam jego wolę. Vicente Blasco Ibanez czeka już półtora roku na swój pogrzeb w wolnej Walencji.

— Gdzie czeka?

— Tutaj. W swoim domu. Oczywiście, zabalsamowany. — Elena Blasco Ibanez wskazała ręką na szopę w końcu ogrodu, do której rozmawiając doprowadziła mnie.

Przez sztachety, stanowiące zamknięte na łańcuchy wejście, zajrzałem do środka.

Na niskim katafalku stała duża pękata trumna, okryta żółto-czerwonym sztandarem.

— — — — — — — — — —

Pochowany uroczyście w rodzinnej Walencji po abdykacji ostatniego hiszpańskiego króla pisarz—republikanin przewracać się musi w grobie — czekając teraz kiedy diabli wezmą generała Franco!

Wacław Rogowicz

Dwugłos taki jest możliwy

(Dokończenie ze str. 1)

jej interesy nie będą mogły górować nad interesami narodu.

Nie ma Międzynarodówki kapitalistycznej. Ale jest zaborczy plan amerykański, który przyciąga niecnych i małodusznych rządzących i grozi ujarzmieniem państw słabszych i skłóconych. Kosmopolityzm oligarchii przemysłowej i bankowej ułatwia naszym społecznym reakcjonistom wdrożenie się do dobrowolnych usług na rzecz nienasyconej zagranicy. Państwo nad-narodowe panów Bluma Schumanna i Bidaulta staje się w ten sposób ideologicznym wykładnikiem zaborczego planu Ameryki.

✤

Cóż jeszcze powiedzieć?

Po prostu to:

Z oczywistości tej lekcji historii, z jej zbawczej dla narodu siły, zdawali sobie komuniści sprawę już na długo przed czerwcową klęską 1940 r.

To, że nikczemnicy wciąż z zawziętością tłumaczą poświęcenie tysięcy komunistów, ludzi prostych i dobrych, jako fanatyczne zaślepienie i lekkomyślne uleganie rozkazom Moskwy, nikogo nie zdziwi, kto zna podłość tych na wskroś służalczych sumień, rozsiewających kłamstwa i kalumnie.

Może natomiast dziwić, że umysły uczciwe nie chcą przemyśleć tych oto zdań Maurice'a Thoreza, wypowiedzianych na kongresie sztrasburskim:

„Międzynarodowa reakcja podtrzymywała faszystów. U nas ludzie prawicy mówili: „Raczej Hitler niż Front Ludowy". Ludy walczyły o wolność przeciw reakcji i przeciw faszyzmowi. Wojna, która nas zaskoczyła, w tych warunkach przybrała w oczach ludów charakter wojny sprawiedliwej, wojny antyfaszystowskiej. Zbrodnią monachijczyków było wynaturzenie charakteru tej wojny przez złamanie w pewnym momencie, frontu demokracji na rzecz Hitlera i przez zbrodnicze wystąpienia przeciw klasie robotniczej i partii komunistycznej podczas tej zabawy w wojnę".

I doprawdy jest niepokojące, że nie wyciągnięto z tych słów istotnego dla Francji sensu.

To bowiem jeszcze mało, by demokraci i patrioci mieli po prostu słuszność i byli w zgodzie z własnym sumieniem.

Należy, jak pragną tego ze wszystkich sił komuniści wspólnie mieć słuszność i tym razem w porę.

Laurent Casanova

Artykuły J. Bendy i L. Casanovy ukazały się w miesięczniku „Europe" z marca 1948 r.

ANNA KOWALSKA

NA STATKU

Adriatyk szalał poprzedniego dnia, jakby chciał dać świadectwo wierszom Horacego i teraz wciąż jeszcze morze waliło o molo, wzdłuż którego uderzały o siebie z trzaskiem liczne łodzie. Uciekliśmy od tego widoku i hałasu do winiarni, aby pokrzepić serca winem, ostatnim w Italii.

Przy stole, w grupie marynarzy, siedział chłopak grecki niezwykłej urody, pijąc Marsalę patrzyliśmy na niego z rozmarzeniem, z jakim się patrzy na kwiat lub owoc z obcego kraju, myśląc o ziemi i niebie, na której zakwitł i pod którym dojrzał.

Wyszedłszy z winiarni pożegnaliśmy oczyma kolumnę znaczącą tu, w Brindisi, koniec drogi Apijskiej, początek tej drogi oglądaliśmy pół roku temu u bramy Rzymu.

Podróż jest przyjemnością podobną do spożywania szlachetnego owocu; gdy pachnący, soczysty owoc odświeża spragnione gardło, nie pamiętamy, że jest on również pokarmem, podziwiając dzieła sztuki nie czujemy, że równocześnie uczymy się, tak doskonale trud poznania utajony jest w zachwycie.

Stojąc na pokładzie statku, rzuciliśmy w wygładzoną taflę wodną garść włoskich miedziaków, pozostałych po zmianie pieniędzy. Opuszczałam Włochy z jakimś poczuciem rozczarowania, że oto nic więcej się nie wydarzyło oprócz podróży. Nasi dawni przyjaciele włoscy umarli lub rozbiegli się po świecie, nie zyskaliśmy nowych. Sam Rzym wielkich wykopalisk nie był już Rzymem mojej młodości, nie chciałam go nawet pamiętać, tym bardziej że wlókł się za mną cień rzymskiego szpicla, nieodłącznego towarzysza naszych archeologicznych wędrówek.

Wcześnie wtargnęło słońce przez okienka kajuty. Dwu starych Anglików widocznie zmarzło, nie tyle chyba z chłodu, bo słońce silnie przygrzewało, co ze starości, chodzili wokoło pokładu przytupując na zakrętach, niegorzej od wart przed Buckingham Palace.

Zajęci morzem, zauważyliśmy dopiero po chwili, że okręt płynął przechylony na bok. W porcie albańskim Ajoj Saranda ładowano krowy, kozy, owce i niezliczone zwoje skór niewyprawionych. Kapitan okrętu gwizdał na postrach i dawał sygnały do odjazdu. Tymczasem od brzegu odbijał nowy galar z krowami, a w głębi wsi było widać, jak świniarze spędzali z chlewów nowe transporty. Komin okrętowy buchał czarnym dymem, syrena wyła a z nią na zawody wyło bydło, kapitan wyjmował z ust gwizdek tylko wtedy, gdy przeklinał ludzi z galaru. Albańczycy nie byli mu dłużni, i tak śród wrzasków ładowano przerażone zwierzęta. Wszyscy zdawali się otrzaskani z ceremonią ładowania i nie brali poważnie gestykulacji kapitańskiej. Od windy dolatywał miarowy głos marynarza: Ma-ina, co znaczyło maszyna. Łańcuch naprężał się, hak porywał wielką sieć z worami, skrzyniami, świniami. Chwilę kręcił się ten ładunek w powietrzu i zjeżdżał w otwór w pokładzie. Krowy wpychano drągami i bez czułości w ogromne drzwi w boku okrętu.

Wreszcie statek ruszył, pasażerowie porozkładali się na leżakach. Stary otyły kupiec kazał przypiąć swoją wizytówkę do leżaka i rozłożył się w cieniu pod mostkiem kapitańskim. Od rana jadł nie patrząc na nikogo z obecnych na pokładzie. Od czasu do czasu wyciągał ręce, żona pochylała się ku niemu z gąbką i ręcznikiem, po czym siadała na stołeczku u jego nóg i patrzyła uważnie na wielkie, ospałe oblicze męża. Gdy tylko ruszył głową wyciągała z koszyków czystą serwetę, wiązała ją mężowi pod brodą, po czym wtykała w ręce kawałki pieczonej baraniny, by po chwili znowu przemywać mu ręce gąbką. Nie patrzył na nią, nie odzywał się słówkiem ale oto wyczytała w jego twarzy czego pragnie, bo rzuciła się pośpiesznie do koszyka, wyjęła ogromną gruszkę, obrała ją, coraz to podnosząc oczy na męża, czy nie gniewa się, że nie dość szybko mu usługuje, wreszcie obrane kawałki gruszki wkładała mu do ust.

— Wstrętna kobieta — powiedział z obrzydzeniem Sadowski i otrząsnął się cały.

— Dlaczego wstrętna, Jarku — wybuchnęła pani Tina. — Dlaczego on — tym razem zwróciła się do mnie — nazywa dobre, kochające kobiety wstrętnymi? Czy wy Polacy wszyscy tak uważacie?

Sadowski wykonał jakiś ruch pół ukłonu, powiedział coś, co mogło brzmieć jak przepraszam i powędrował na swoich długich nogach do baru.

Zostałam w kłopotliwej sytuacji, bo oczywiście nie chodziło o to, czy młoda żona otyłego kupca jest wstrętna czy nie, ale o to, że Sadowski po raz trzeci od Brindisi stracił cierpliwość. Po każdym wybuchu zniecierpliwienia i tajonej niechęci pani Tina brzydła i starzała się. Na nikogo zresztą nie padało tyle sadzy z komina co na nią, jej spocona i zbyt umalowana twarz cała była w kreski i muszki, a kosztowna jedwabna sukienka wyglądała okropnie.

Poznaliśmy Sadowskich za pierwszym naszym pobytem w Atenach. Tina wychowała się w dostatkach — ojciec jej był ministrem za ostatniego króla, na wakacje jeździła do Szwajcarii, studiowała muzykę w Niemczech. Skończyła dziewiętnaście lat i już zastanawiano się, który z bogatych młodzieńców ateńskich nadawałby się dla niej na męża, kiedy poznała w rosyjskim kabarecie, nie pierwszej już młodości śpiewaka. Jarosław Sadowski, Polak z pochodzenia, opuściwszy Rosję po rewolucji, biedował z innymi emigrantami najpierw w Konstantynopolu, a potem w Atenach. Jego nędza, uroda i duma podziałały na jej wyobraźnię. Postanowiła go ocalić — dla siebie. Zmusiła swego stryja, posiadającego warsztaty okrętowe w Pireusie, aby go przyjął do pracy, wierzyła, że Jarek wszystko potrafi. Po miesiącu, oczarował stryja, całe biuro, a powoli i rodzinę Tiny. Kobietom w rodzinie podobało się, że zapraszał zawsze którąś ze starszych ciotek, gdy się wybierali z Tiną do cukierni, gdy Tina proponowała kino nalegał, by dwie ciotki im towarzyszyły. Jednego dnia Tina zapytała, czy coś stoi na przeszkodzie, by się z nią ożenił. Przyjrzał się jej uważnie, pocałował w rękę, a potem wyznał, że nie może jej kochać, nikogo nie może pokochać po stracie narzeczonej, która jego serce zabrała do grobu. Na koniec dodał, że jeśli mimo to Tina ma odwagę związać się z nim, to on się nie wzbrania.



Tina odetchnęła. Ktoś, kto nie żył, nie mógł być niebezpieczny. Podobało jej się nawet, że pozostawał wierny swojej pierwszej miłości, wróżyło to raczej dobrze; nie wierzyła, aby nie udało się nauczyć go być z nią szczęśliwym. Gdy po ślubie poskarżył się, że nie może z nią rozmawiać po polsku, wzięła nauczycielkę i uczyła się z zapałem. Po roku przeczytała „Faraona" Prusa z zajęciem, znała bowiem Egipt, jego historię i sztukę, trudniej poszło z Trylogią Sienkiewicza. Jarek twierdził, że przeczytał ją kilkadziesiąt razy, istotnie ledwie kończył zaczynał na nowo — nie czytywał bowiem nic innego. Tina uważała Trylogię za biblię Polaków. Czekała z napięciem, kiedy będzie mogła o tym z nim porozmawiać, wreszcie odważyła się. Wzruszył się i nawet ją pocałował, ale gdy wyznała, że najciekawszym dla niej bohaterem jest Azja wybuchnął śmiechem, wprost płakał ze śmiechu, wreszcie stanął naprzeciw niej, położył ręce na jej ramionach i ścisnął tak mocno, że jęknęła. — I ty odważyłaś się zostać żoną Polaka. Czemu nie zakochałaś się w jakimś Turku!

Obelga była podwójna. Tina zrozumiała że zniszczyła sobie życie. Nie miała odwagi porzucić męża i wrócić do rodziców. Chodziła do spowiedzi, do wróżek, do psychiatrów, radząc się, jak się wyzwolić z miłości. Tymczasem żyła.

Nim dopłynęliśmy do Korfu, pani Tina zdążyła mi opowiedzieć jeszcze raz, co już dobrze znałam, a nadto wyliczyć swoje nowe zgryzoty. Mimo tylu rozczarowań wciąż żyła nadzieją, że w końcu stanie się cud i coś się w sercu jej męża odmieni.



Gdy wreszcie dojechaliśmy do portu, była popołudniowa godzina. Słońce nadawało zieloności dziwną przezroczystość głębokiej wody, jakby przeświecało ziemię od spodu. Na okręt wtargnęli przekupnie z klatkami ptaszków, z haftami i rzeźbionymi laskami. Gromada szoferów wykrzykiwała z brzegu ceny na przejażdżkę do Achilejonu. Woźnice na kozłach dorożek wybierali sobie batami pasażerów zebranych na pokładzie i wzywali ich do zejścia na ląd. Pierwsze greckie dzienniki i papierosy wysypały się na pokład.

Okręt sunął teraz śród jaszczurowatych grzbietów wysp, pokrytych zaroślami. Tuż nad wodą bieliły się śród zieleni domki zapatrzone oknami w morze. Tu gdzieś był kraj homerycki, błogosławiona krajna Feaków. W miarę jak płynęliśmy, powietrze stawało się coraz przezroczystsze, morze marszczyło się krótkimi falami. Pasażerowie zapadali w długą drzemkę, albo leniwie patrzyli w morze.

Gdy pani Tina poszła do kabiny się przebrać, Sadowski usiadł koło mnie chmurny i podniecony.

— Czy pani rozumie, co to za męka nie móc kroku zrobić, żeby Tina zaraz się przy mnie nie znalazła, nie móc przeglądnąć gazety, żeby dziesięć razy nie spytała co ciekawego czytam?! Gdy jem wpatruje mi się w usta, aby zgadnąć jak mi smakuje, gdy... nie, to nie do wytrzymania musieć się wszystkim zachwycać, nie żyć, tylko się zachwycać życiem. Musieć bez przerwy być szczęśliwym i mówić o tym bez przerwy. Wystarczy, żebym przystanął przed wystawą sklepową i powiedział: o ładny krawat — już pędzi, kupuje. Raz siedzieliśmy w cukierni, wszedł jakiś pan z dogiem, pięknym, popielatym dogiem. Mówię — ładny dog. — Nieopatrzny! Po dwóch dniach już przyszła do domu z dogiem, proszę wyobrazić sobie moje przerażenie. Zna pani naszą wilijkę, malutkie pokoiki przeładowane bibelotami i w tych pokoikach dog, wielki jak stół. Czy to sens? Oczywiście płacz, łzy, że jestem okrutny.

— Ale to chyba najmniejsza wina, gdy zona kocha męża — broniłam nieobecnej.

— Ach pani! Być kochanym, gdy się samemu nie kocha, być tak kochanym! Nie, to trzeba przeżyć. — Objął głowę rękami — Ja wiem co pani myśli, że jestem niewdzięczny. Dzięki niej z nędzarza stałem się człowiekiem Wszyscy co mnie znali mówią: ten ci miał szczęście — wstał i rzucił niedopałek w morze. — Rok temu wyrwałem się do rodziny w Polsce. Boże, jakie nasze dziewczęta są śliczne, dumne, wspaniałe. Te jasne, puszyste włosy, delikatne twarze. Czy pani wie, że Greczynki nie mają rumieńców, są zawsze żółte lub zielone, reszta to szminka.

— Ależ panie Jarku i u nas są brunetki, a tu widziałam dziewczęta piękne jak boginie.

— Pani bluźni..

Ktoś pisnął przeraźliwie. Zielonoczarna jaszczurka wysmyknęła się z kosza i zniknęła pod leżakami. Młody Egipcjanin wysunął się spod pledu z wielbłądziej sierści tak wielkiego, że można by nim chyba nakryć cały pokład i powiedział po grecku. — Raz wchodzę do ogrodu mojej ciotki, a tu spuszcza się ku mnie z altany wąż. Krzyknąłem i od tego czasu jąkam się, gdy jestem zdenerwowany. Są czasem strasznie mądre węże. U mojej kuzynki wąż miał małe. Służąca znalazła je i chciała zabić ale jakoś zmieniła postanowienie i zostawiła je między oknami spiżarni, pewnie chciała je sprzedać do jakiegoś laboratorium. Wąż-matka wśliznął się do domu, szukał młodych, a nie znalazłszy ich wpełzł do spiżarni i wpuścił jad do masła. Potem jednak odnalazłszy młode między szybami wrócił na półkę i strącił garnek na kamienną podłogę, wylewając zatrute masło.



Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale Egipcjanin nie zniechęcił się i zwrócił się do sąsiada z innym opowiadaniem.

Ktoś po drugiej stronie pokładu wymieniał historyczne imiona: Kyllene, Missolunghi, gdy dzwonek oznajmił kolację.

Pani Tina przyszła do stołu w świeżej sukni, pachnąca perfumami prawie ładna gdyby nie jakiś głodny wyraz oczu. Pociągnęła mnie za rękę i uścisnęła. — Czy pani sądzi, że on nigdy nie może mnie pokochać. Jakąż to trzeba być, by mu się spodobać? Czasem boję się, że mnie nienawidzi. Czasem i ja czuję się bliska nienawiści — szepnęła namiętnie, przyciskając rękę do serca.

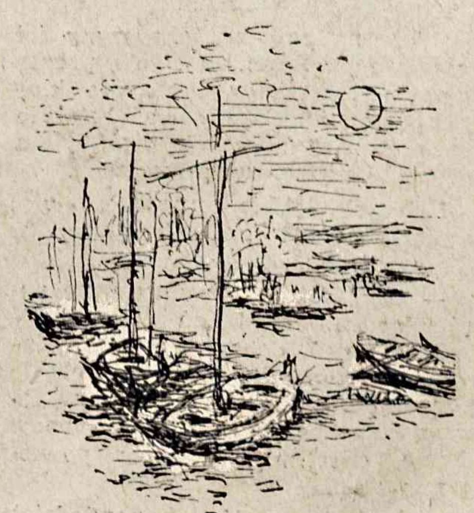
Obok profesor, Niemiec, chudy i kanciasty objaśniał swoje dwie leciwe towarzyszki, że tylko Niemcy odczuwają sztukę grecką. Para malarzy Francuzów, mąż i żona, wymienili spojrzenia, wreszcie ona, nie mogąc się opanować szepnęła — Ah! ce qu'il me degoûte celui-là. — Egipcjanin tłumaczył sąsiadom, że przyjechał do Grecji na lato, aby uniknąć upałów egipskich. Grecy rozmawiali o cenach towarów. Siedmioletni Nionio włożył sobie pestki z oliwek do uszu, obok jego matka chwaliła się sąsiadce, jak to ona pilnuje dziecka i całe mu życie poświęca. Nionio przysłuchiwał się temu z poważnym spokojem i wepchnął dwie pestki do dziurek w nosie. Młody Szwed o twarzy sennego cherubina z zawstydzeniem odpowiadał łamaną angielszczyzną swemu greckiemu sąsiadowi, że jest przedstawicielem fabryki żarówek.

Steward postawił kosze z winogronami.

— Czy jest gdzieś kraj rodzący takie piękne owoce — powiedziała gardłowym głosem pani Tina, otaczając ramionami kosz. Ramiona były piegowate, ale gest wdzięczny. Sadowscy kilka miesięcy spędzili we Francji i Włoszech i w owocach tych pani Tina witała swoją ziemię rodzinną.

Sadowski wziął do ręki grono, jakiego nie powstydziłby się sam Dionizos, o ogromnych zielonkawo-różowych jagodach.

— Wielkie to i słodkie, ale soku żadnego, sam miąższ.



Uśmiechnęła się z przymusem, ale nagle, jakby zabrakło jej sił do dalszego uśmiechu, skłoniła głowę i wstała od stołu.

Widziałam, że miała łzy w oczach. — Przepraszam, ale głowa mnie rozbolała, pójdę się położyć.

Czułam, że powinnam iść z nią i znaleźć jakieś słowo rozbrajające, ale czy dlatego, że w kabinach było duszno, czy też po prostu że znudziła mi się ta cudza bieda i nie wierzyłam, by coś tu słowa mogły pomóc, wymknęłam się na pokład, rada z samotności.

Przysunęłam leżak do balustrady, zapomniawszy nawet o istnieniu Sadowskich. Obok na leżakach ludzie drzemali albo sennie wpatrywali się w nieruchome morze, ścięte upałem i ciszą. Tylko przy samym okręcie leniwie odbiegała fala i zostawiała przezroczystą bruzdę.

Jakiś stary Grek chudy i wysoki usiadł na balustradzie przeplótłszy nogi przez żelazne przęsła, kobiety przelękły się, że spadnie, ale on je uspokoił. — Trzydzieści lat przewędrowałem po świecie, po obu Amerykach, dwa razy byłem bogaty, trzy razy blisko śmierci. Teraz wracam do mojego małego domku nad Akropolem, a za cały majątek mam tę oto panamę — i powiał nam przed oczami ogromnym kapeluszem z cieniusieńkiej słomki — oto com wyrwał tym bogatym ziemiom, ale jestem szczęśliwy, jakby ten statek wiózł całe złoto Peru. Dziś jeszcze zobaczę moje Ateny. Moje Ateny! — powtórzył i obrócił twarz ku wschodowi.

Pod łodzią ratunkową ufnie spała rodzina robotnika z Korfu. Leżeli na bawełnianym dywaniku w różowe i czarne paski, przepleceni ramionami. Szerokie ręce rodziców tuliły opiekuńczo dwu synków prawie nagich, leżących między nimi. Było coś wzruszającego w szczerości ich bezwiednego gestu i w spokojnym śnie.

Na dole z czeluści statku wyszedł palacz okrętowy, chwycił się za łańcuch i dyszał ciężko. Aż na górny pokład słychać było jego świszczący oddech. Pot strugami spływał mu po czole okrytym pyłem węglowym i po chudych piersiach. Podarte bawełniane spodnie przylepione były do kości.

Obok palacza stanął kucharz Chińczyk. Stali tak obaj długo i dyszeli, a potem podeszli do wodociągu, ochlustali się wodą i usiedli na pakach, zapatrzeni tępo w wodę. Co myśleli? Co czuli?

Dziewiętnaście wieków temu zapatrzeni w te wody niewolnicy podawali sobie z ust do ust wieści o Królestwie Bożym, a słuchając chlupotu wód budzonych wiosłem odważali się mieć nadzieję. Od tego czasu wiara zbudowała wiele wspaniałych katedr, ale gdzież była nadzieja, gdzie Królestwo Boże.

Ogarnęło mnie zniechęcenie i niepokój, co nowego, czego odkryć nie potrafiłam w tekstach zostawionych w domu, spodziewałam się poznać chodząc znowu po starej greckiej ziemi. Czy wiodła mnie nieświadoma chęć wyzwolenia się z uroku rzuconego przed laty przez te ziemie i tak jak kochanek pragnący odzyskać wolność przygląda się spojrzeniem odczarowanym z zachwytu, próbowałam przezwyciężyć dawne uroki i odzyskać się dla rzeczy nowych i powabów innego świata? Czy też ulegałam tylko instynktowi każącemu dziecku wyrywać się z ręki matki i z krzykiem: ja sam, pędzić przed siebie.

Matowy blask leżał na świecie wodnym i na pokładzie statku. Księżyc ogromniał, jakbyśmy się nie ku Attyce zbliżali, ale ku niemu i nie po morzu płynęli, ale szybowali w powietrzu.

— Pireus bracia Pireus — krzyczał stary ateńczyk i powiewał nad głowami panamą. Wiele jednak czasu upłynęło, nim dojechaliśmy do półkola świateł. Podróżni z walizkami i tobołkami w rękach cisnęli się i niecierpliwili, przewoźnicy naglili z łodzi, żeby prędzej wysiadać.

— Nie widziała pani mojej żony — zapytał znudzonym głosem Sadowski, przedzierając się przez tłum pasażerów — nigdzie jej nie ma. Pierwszy raz zdarza mi się, żebym potrzebował jej szukać.

Niebawem szukaliśmy jej wszyscy. W kabinie Sadowskich leżały tylko podarte fotografie i listy. Kazano nam wejść do jadalni i jeszcze raz sprawdzono dokumenty. Dwóch policjantów i jakiś zarośnięty elegant w cywilnym ubraniu zapytywali każdego po kolei, kiedy widział po raz ostatni panią Atenę Sadowską. Ci co ją pamiętali, stwierdzili że przy kolacji, tylko gruby kupiec wyznał, że widział jak przeżegnawszy się rzuciła się w morze. Gdy wszyscy z krzykiem zarzucali mu dlaczego nie zaalarmował kapitana i dotąd zataił tę wiadomość, zaczął się wycofywać ze swojego twierdzenia, tłumaczył się, że źle widzi, a zresztą od Korfu do Pireusu spał, widocznie coś mu się przyśniło.

Na stole wciąż jeszcze stały kosze z winogronami. Sadowski mechanicznie sięgnął po grono, zerwał jagodę i podniósł do ust, ale poczuwszy moje spojrzenie zmieszał się, opuścił ręce i rzucił grono pod stół jak człowiek chcący się uwolnić od dowodu winy.

— I skoczyła biedaczka w morze — odezwał się cicho jeden stary Anglik do drugiego, gdyśmy wreszcie znaleźli się w wagonie kolejki elektrycznej — prawie jak Safona!

Biedna pani Tina, jakżeż żałosne wydawało się jej zaślepienie miłosne, żałosne i śmieszne, jak często wydają się nam czyjeś namiętności. Czyż starożytni nie wykpiwali w komediach nawet miłości Safony?

Anna Kowalska

WILHELM SZEWCZYK

RÓŻDŻKO ŻYWOTA

Dalej różdżko żywota, poezjo okryta
szalem czerwonym, tocz się
oczyma do powłoki ziemi przybita,
w wietrze gryzącym zewsząd jak w occie,

dalej, gdzie zrąb kopalni i gdzie ręce huty
pod niebem zaplecionym jak warkocz czerwony,
gdzie horyzont szpikami kominów zakłuty
i czarne krążą chmury i skrzypią jak wrony,

z rozpadlin i wądolców ukrytych, gdzie tłusta
woda bulgoce, bąk ją samotny przecina,
z dna hałdy smród jak nagle narzucona chusta
na wargi słowa wiąże i wycieka ślina,

— stąd ci różdżko żywota, poezjo wytworna,
krew ciągnąć w żyły rytmów, stąd a nie z dąbrowy,
gdzie drzewo każde szumi jak proporzec orla,
rozwieszony u szczytów pod łuk nieba płowy.

Jeśli jakaś dziewczyna tu przejdzie, to chwyć ją,
popatrz, przed dymem usta owinęła chustką,
w ręce dzbanek a w dzbanku zupa i kość czyjaś
w bąblach tłuszczu; palcami ledwo drogę muska,

nad nią obręcze dymów, pył węglowy tańczy,
porywając kępki dmuchawców i twarze
w mglisty wąwóz, gdzie wczoraj jeszcze krzyż stał stary
a dziś go porąbali na ogień hałdziarze.

Idź za nią, różdżko mądra, niesie dzbanek zupy
ojcu, który w wąwozie kopie nędzny szybik
— jak trzmiel wiatr obiega horyzont zatruty —
ty ojcu kilof z dłoni choć na chwilę wybij,

niech spocznie i przechyli dzban i kość pogryzie
a dziewczyna w wełnistym nachylona dymie
niech mu od ust odejmie ów smrodliwy wyziew,
od którego przemienił się i wziął swe imię.

O różdżko, zamieniona w kwiat, co w noc zwędruje
rozłogi wełnowieckie i szlaki bytomskie,
w tobie sława goryczy i wiatr co przekuje
płatki rymów na sztaby i drągi pierońskie!

W dniu 7 czerwca 1948 r. w salach Muzeum Narodowego nastąpi otwarcie Drugiej Dorocznej Wystawy Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Warszawskiego.

Wystawa ta będzie przeglądem dorobku artystycznego plastyków warszawskich.

ROMAN BRAINY

Kurs na „Tożepolskę”

Na kilkanaście kilometrów przed Ciechanowcem, szukając właściwej drogi, przygarnęliśmy do auta tuziemca, czekającego na przystanku PKS. Z kieszeni wysiawał mu potężny plik gazet.

— Co to takiego?

— Ano, pracę mam teraz daleko stąd w terenie, więc raz na tydzień pocztę odbieram.

— Pisma?

— Właściwie jedno. — „Ekspress“.

— No to niewielka z tego po dwu tygodniach pociecha.

Okazuje się w dalszej rozmowie, że jednak wielka. Nasz towarzysz jest entuzjastycznym czytelnikiem powieści, która „idzie“ w „Ekspressie“.

Wywiad na temat stanu zainteresowania książką, jaki mam przeprowadzić na terenie województwa białostockiego w ramach akcji „Autorzy wśród swych czytelników“ — rozpoczęty. Miejscowy geometra już się wypowiedział. Żegnając go z ulgą przypominam sobie, że chodziło przecież o teren wiejski, a tu nawet szybki bieg samochodu nie przeszkadza w czynieniu obserwacji na temat „stanu czytelnictwa“. Gdy zbliżamy się do którejkolwiek z wlokących się z rzadka furmanek, auto „Czytelnika“ wzbudza zawsze jednakową sensację. Koń staje dęba, wóz balansuje nad rowem, chłop szarpie się trzymając konia przy wędzidle. Niektórzy zrywając czapkę z głowy zasłaniają nią końskie oczy.

Nie wiem, czy traktować samochód jako nieodzowny element nowoczesnej kultury, czy też jest to tylko przedmiot z kręgu bardziej przez pewien gatunek „humanistów“ lekceważonej cywilizacji — nie wiem ale wydaje mi się, że oto już wiejskie szkapy odpowiadają jakoś na akcję „Czytelnika“. Czy ludzie nie zaczną tu wierzgać na widok książki? Ale nie czas żałować ludzi gdy auta płoszą konie. Na ogół końmi, które prawie nie widziały auta, opiekować się będą ludzie, którzy prawie nie widzieli książki. W niżu cywilizacyjnym nie wyrośnie wysoka kultura.

Wracajmy więc do konia. Gdy samochód ugrzązł nam na bocznej drodze, okazało się, że w liczącej 10 gospodarstw pobliskiej „kolonii“ jest tylko jeden dwuletni źrebak, bo wobec jakiegoś lokalnego nieurodzaju na paszę w zeszłym roku chłopi musieli wyprzedać konie. Wiem, że gdybym tu zamiast osobowym autem przyjechał traktorem, zrobiłbym więcej dla „kultury wsi“. Gdy rozmawiałem z tymi ludźmi, grzebiącymi w ziemi, po której jeszcze kilkanaście miesięcy temu krążyły gęsto oddziałki NSZ-owskie, trudno mi było zorientować opracowywaną zapewne przy warszawskim biurku ankietę „Czytelnika“. Spotykałem w niej i pytania: „Czy radio wpływa potęgująco na czytanie książek czy też je raczej zastępuje“, lub też: „Jakie z innych potrzeb kulturalnych są dostępne dla czytelników wiejskich“. W żadnej z wielu widzianych wsi nie zastałem radioodbiornika, a co do „innych potrzeb“ to w spisie książek w którejś wiosce (Biblioteczka PRW) spotkałem dzieło zatytułowane „Fryderyk Chłopin“. Nie śmiejcie się. Tu nie znają nazwiska narodowego kompozytora. Kultura „narodowa“ była przecież nie ich własnością. Była własnością klas lepiej odżywianych. Najważniejszą potrzebą kulturalną wsi nie jest mechaniczne skreślenie owego, tak zresztą uroczo trafnego, „ł“ w nazwisku Chopina, ale większa racja tłuszczu w codziennym barszczu.

Ale cóż, „Czytelnik“ chce was, zjadaczy barszczu, „w aniołów przerobić“ i ostatecznie... Nie da się przecież ciągnąć pracy nad podniesieniem poziomu techniki produkcyjnej, nad ustaleniem minimum dobrobytu bez podniesienia poziomu umysłowego, a więc i zakresu zainteresowań chłopa.

Ale zachowujmy się jeszcze spokojnie, literaci! Do słowa „literatura“ — jeszcze bardzo daleko. Na wsi jest głód praktycznej wiedzy, której zaspokojenia wymaga się przede wszystkim od książki. Często na zapytanie — jakiej książki najbardziej potrzebujecie — padała odpowiedź — kalendarza rolniczego, poradnika medyczno-weterynaryjnego. I nie byłem chyba ofiarą jakiejś drastycznej pomyłki, gdy rozmowa ze spraw książki zbaczała nagle na temat naszej produkcji przemysłowej, lub na perspektywy puszczenia przez dany teren linii PKS. Kultura może dziś iść na wieś tylko z cywilizacją pod rączkę.

Gdy w tych wsiach znajdzie się paru ludzi, którzy jako tako — choćby w najgrubszym zarysie — orientują się w wydarzeniach współczesnych, zawdzięczamy to popularności jedynego czytywanego przez wieś — fachowego w pewnym sensie — pisma „Rolnik Polski“, w którym obok informacji na temat schorzenia racicy krowiej znajdziemy reprodukcję twarzy Marshalla i komentarz do jego ostatniej mowy.

Trudno, by siedzący w Warszawie, pełni na pewno jak najlepszej woli, redaktorzy „Informacji dla autorów w sprawie badania czytelnictwa na wsi“ przewidzieli, jak zabawne okaże się pytanie o „czasie poświęconym na czytanie książki w stosunku do czytania gazet, tygodników, miesięczników“ w takich np. Milusach (powiat Ełk), gdzie ludzie żadnego w ogóle pisma nie znają.

W innej wsi natomiast widziałem rzecz bardzo podnoszącą na duchu: jedną ścianę chałupy wytapetowaną „Robotnikiem“, a na niej masę straszliwych, nabożnych oleodruków. Pod nieobecność gospodarza, żadna z kobiet nie dała mi odpowiedzi na to, skąd się te egzemplarze tu wzięły. W tych stronach jeszcze się nie ufa obcemu człowiekowi, który pojawia się nagle, by o coś pytać.

Gdy przejeżdżaliśmy przez chłopski tłum na targowisku w pobliskim miasteczku, powolne odziane w kożuch chłopy spokojnie z satysfakcją nie usuwały się z drogi, samochód grzązł w tłumie ludzi, wozów. Szofer — warszawski typowy znajomek Wiecha — klął wściekły i ryczał, by wreszcie stwierdzić, załamawszy ręce na kole kierownicy: „To nie ludzie“. Przepchaliśmy się przez „ciemny tłum“, ale do końca podróży nie udało mi się dowiedzieć, czy i co czytywał nasz kierowca. Może — świadomy celów naszej wyprawy — obrażał się na samą myśl, że pyta się go o te same sprawy co tych „ciemniaków“. Siedziałem w wozie „Czytelnika“, biedny inteligent uświadomiony, że oto znalazł się między młotem „ciemnoty chłopskiej“ a kowadłem niewyjaśnionych na razie drobnomieszczańskich smaczków. Jedziemy dalej do opuszczonych wsi, a ja dumam, że chyba dalszy jest dobrej literaturze ten, kto już wybrał powieść z „Ekspressu“ niż ten, kto jeszcze nie miał możliwości wyboru.

Jedziemy. To tu w jednej ze wsi powie mi zaczepnie naprawdę oczytany i wyrobiony chłop Franciszek Grzymkowski: „Dobrze żeście sobie przypomnieli, że to też Polska żeście do „Totężpolski!“ przyjechali, choć i grzęźliście po drodze“.

A teraz opowieść o dziwnej wsi. Boćki (powiat Bielsk Podlaski) przechodziły ciężkie koleje w niedawnym jeszcze okresie królującej „leśnej opozycji“. Ginęli nie tylko działacze. Zdarzyło się, że zabito i powieszono 12-letniego chłopca za to, że wskazał po jakiejś awanturze, którędy wycofali się sprawcy. Jak wszędzie w Białostockiem, tak i tu sytuację rozładowała już ostatecznie amnestia z wiosny zeszłego roku. Wieś dziś buduje wielką nową szkołę. W Boćkach ludzie nie piją od jesieni wódki. Po akcji misjonarzy z któregoś zakonu cała wieś „poprzysięgła“ nie pić. Gdy ktoś tam — jakiś młody chłopak — złamał niedawno śluby, „obwiesił się“ z rozpaczy i strachu.

Po robocie misjonarzy zostały i inne ślady — cała wieś czyta „Niedzielę“, którą otrzymuje bezpłatnie. Jedyne inne źródło informacji o aktualnej rzeczywistości stanowi znowu „Rolnik Polski“, boć nie może nim być uboga biblioteczka szkolna, gdzie można znaleźć Sienkiewicza, Prusa, Rodziewiczównę, Meissnera, Zarembinę.

Gdy po wieczorze autorskim zacząłem gadać ze słuchaczami, powiedzieli mi, że książki o tematyce wojennej są najlepsze. Rozmowa dowiodła że w tej bardzo wyrobionej wsi nastąpił odwrót od tradycyjnych zainteresowań literaturą „romansową“ na rzecz literatury związanej z przeżyciami powszechnymi. To, że chcą czytać rzeczy „współczesne“, w niczym nie umniejsza olbrzymiego autorytetu Sienkiewicza, który znów w okresie wojny okazał się „pokrzepiaczem serc“, jak to ktoś z zebranych powiedział. Sienkiewicz, to jedyne nazwisko w naszej literaturze, którego można być pewnym w tych terenach które zresztą nie raz nie dwa odnajduje się na kartach Trylogii.

Boćki poprawiły nieco nastrój, w jaki wpadłem po pierwszych patrolach. Tutaj ludzie coś robią. Budują. C z y t a j ą nawet! Tu od razu organizują akces do biblioteczki „Czytelnika“. A jednak... Po tym wszystkim, co przeszła Białostoczczyzna, ci ludzie boją się „politvki“. Jedyną bardzo sprawnie działająca organizacją społeczną jest tu... Straż Pożarna. Proszę się nie śmiać — wcale tęga organizacja, zobaczcie jej świetlicę.

Zmienić ten stan rzeczy nie będzie łatwo, trzeba czekać aż czas zaleczy świeże jeszcze ślady NSZ-owskich marszrut na tym terenie.

Na zakończenie Bociek jeszcze jedna autentyczna anegdota o tym, jak niezwykle energiczny i ze wszech miar dorzeczny wójt miejscowy zbierał od opornych fundusze na nowy gmach szkoły. Obywatel, który uchylał się od wpłacenia uchwalonej gromadzko składki na szkołę, wzywany był przed wójtowskie oblicze i tu od razu natykał się na groźne pytanie.

— Czy uznajecie rząd R.P.

— Tak.

— Nieprawda. Wy uznajecie Hitlera. On niszczył szkoły i wy chcecie, żeby zniszczały.

Opowiadał mi nauczyciel, że zbiórka przekroczyła preliminowaną sumę — zapewne dzięki temu, że zatwardzialców twierdzących, iż nie mają pieniędzy na składkę, wójt — świetnie orientujący się w zasobach obywateli — zamykał do aresztu gminnego, skąd z reguły po godzinie delikwent nadsyłał pieniądze. Doliczano mu wówczas 100 złotych za zgniecioną słomę gromadzką w areszcie. — Oto prawdopodobnie źródło nadwyżek — żartobliwie powiada mój rozmówca. Boćkowianie szanują i cenią swego wójta. — „Inny by tu nie poradził“.

Nocą przyjeżdżamy do Białegostoku i trafiamy raptem zamiast do wojewódzkiego miasta w środek jakiejś wielkiej wsi, tym razem gruntownie zalkoholizowanej. W knajpie dowiadujemy się, że w Białymstoku nie ma... hotelu. Rzecz dzieje się 19 marca — szeregi gruntownie wstawionych czcicieli „Józia“ snują się po lokalu.

Gdy rankiem zbudziłem się w mieszkaniu uczynnego „prezesa“ (kwitnie tu tytułomania w najlepszym galicyjskim wydaniu) i potoczyłem uważnie okiem dokoła, na miejscu bibliotecznej szafy ujrzałem sporą stertkę pracowicie skompletowanych „Przekrojów“. Dom był niewątpliwie kulturalny. Wspomniałem rychło „Zieloną Gęś“ i „pozytywistyczną“ kampanię Konstantego Ildefonsa oglądając „przynależną“ do tego domu sławojkę, na widok której zamarło we mnie serce — biedaczyna pochylona była pod kątem 45. Może przechylił ją ciężar niezupełnie strawnej dla białostoczan „Zielonej Gęsi“, która i tu spoczywała na haku.

Oto mizerna garść informacji na temat czytelnictwa we wsi Białystok. Proszę, niech redakcja uzupełni ją wiadomością, ile to egzemplarzy „Odrodzenia“ rozchodzi się w wojewódzkim mieście, gdzie lud inteligencki bardzo jest leniwy i w ogóle „gdzie śpiąco, choć niezbyt błogo“.

Na drugi dzień wypadek na trasie zatrzymał nas w osadzie Knyszew — znów wsławionej pono przez Sienkiewicza. Choć sam nie pamiętam, wierzę na słowo, bo będzie to bodaj jedyny kontakt tego miejsca na ziemi z literaturą. Tam, gdzie spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej robi blisko milion złotych obrotu tygodniowo, tam nie ma ani jednej biblioteki! I, oczywiście, jak wszędzie dotychczas, ani jednego radioodbiornika.

Już takie Dobrzyniewo, o które zaczepiliśmy wcześniej, urasta w tej skali do zasobnego ośrodka, skoro można tam znaleźć liczącą około 120 pozycji bibliotekę szkolną plus kilkunastotomową biblioteczkę nauczycielską o specjalnej problematyce społecznej (Engels, Chałasiński, Schaff — wszystko nieczytane), plus biblioteczkę samorządową, przysłaną z powiatu. Nauczyciel tłumacząc brak większego zainteresowania książkami, które przecież są, mówi, że biblioteka jest „droga“ (20 złotych miesięcznie). Choć mam niezłe wyobrażenie o granicach biedy chłopskiej, wydaje mi się, że jest to raczej tradycyjne podejście do spraw kultury, która ma przyjść sama prosząc o łaskawe „spożycie“. W Dobrzyniewie, którego względne uprzywilejowanie wynika zapewne stąd, że wieś leży bardzo blisko Białegostoku — sytuacja kulturalna wsi zależy przede wszystkim od aktywności i energii nauczyciela. Tak jest zresztą wszędzie. A nauczyciel ten z reguły zabijany nadmierną pracą, z powodu swoich głodowych poborów, odcięty zresztą mechanicznie od kontaktu z poważną prasą, nie może sprostać zadaniom.

— Kupiłem parę razy „Wieś“ — to dobre pismo, ale za drogie.

Podobne obserwacje nasuwa Przerośl (pow. Suwałki) czy Bargłów (pow. Augustów). Droga otwarcia zainteresowań wsi dla spraw literatury prowadzi niewątpliwie przez tę prasę, z którą wieś ma kontakt, a więc... „Rolnik Polski“ i jeszcze raz „Rolnik Polski“. Myślę, że czas było by pomyśleć o odpowiednio redagowanym niedzielnym dodatku literackim do tego pisma. Tędy też można by zorganizować dopływ poważnego materiału ankietowego czy statystycznego z dziedziny czytelnictwa, tędy poprowadzić propagandę bibliotek „Czytelnika“ itp.

Trasę naszego rozpoznawczego raidu zamyka Szczuczyn — miniaturowe miasteczko w powiecie Grajewo. Pierwszy w dziejach Szczuczyna wieczór autorski w miejscowym gimnazjum wytrzymać musiał konkurencję pierwszego w dziejach Szczuczyna meczu bokserskiego. Byłem przestraszony tym, czego gotowi są zażądać ode mnie słuchacze, którzy przybyli jednak, na pohybel boksowi, w ilości ponad 150 osób. Chcieli znów posłuchać czegoś „o wojnie“. Znali Fiedlera, Meissnera, „poza tym“ Sienkiewicza, no Prusa z lektury szkolnej, rozmowa o Żeromskim nie wychodziła — prawie go nie znali. Tak wyglądał najkulturalniejszy ośrodek, w którym byłem w czasie swej podróży.

Jeśli któryś z rezydujących stale w kawiarni Marca kolegów-literatów przeczyta ten artykuł, pomyśli z westchnieniem współczucia: To też Polska. Polska, chociaż o Gombrowiczu nic nie wie, chociaż nie zna nowel Rudnickiego, ani nie interesuje się tym, co pożegnał „Staś“ w „Pożegnaniach“. Inteligencki Olimp odpływa w dymach kawiarnianych. Kultura nasza bierze kurs na „Totężpolskę“.

A błota tam! A wyboje!

Roman Bratny

JAN PIERZCHAŁA

KSIĘŻYC

Księżyc to teraz taki,
że jakby go chłop baranicą przykrył
to po nim.
Jak guzik.
Przycisnąć, poleci daleko
i już się nie ma po co schylać.
I już po księżycu.

O, dawniej to cudował;
w okna bystro świecił,
pannom do zębów zaglądał
i tak za serce brał
jak za gardło.

— Chodziło się do księdza na śliwki.
Portki się przyciągało paskiem,
żeby było lepiej uciekać
i pod listki, pod listki ręką.
I szła robota.
Widno było jak w dzień. —

To był księżyc!
To był moi drodzy księżyc.

A dziś nic więcej tylko noc.
I spać się chce.

Wrocław 48

WOJCIECH ŻUKROWSKI — rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

8)

— Proszę księdza proboszcza. Niemcy uciekają, wojna się kończy...

— Skąd to Walercia wie?

— A był jeden i mówił..

— Bajki!

— Kiedy pan sędzia to samo.. Już o świcie był na Kułaku z lornetką i wyglądał Ruskich..

— Jakże tam wlazł? Na skrzydłach wzleciał?



— Już on swój sposób ma, dlatego tak ranιutko, żeby go nikt nie podejrzał! — zbierała naczynie na tacę. — Tak, proszę księdza kapelana powstanie się szykuje... Ludzie się zmawiają, tylko patrzyć jak jeden na drugiego mrugnie i pójdą bić Niemca.

Ksiądz Horbaczewski plecami do niej odwrócony bębnił palcem po szybie. Na sutannie w słońcu wystąpiły wszystkie plamy. Poskrobał paznokciem, poszerzały się tylko, a koło guzików materiał już się strzępił. Westchnął ciężko i znów popatrzył na podwórze, na śnieg bielejący i cień zamkowej wieży załamany na dachu wozowni.

Walercia zmiatała okruszyny jak mogła najwolniej na swoją poczerniałą rękę, rozmowa się nie kleiła, postanowiła spróbować ostatniego argumentu: — Jak dziś byłam, proszę księdza, w piwnicach...

Usłyszeli lekkie pukanie, więc umilkła, oboje zwrócili głowy w stronę drzwi.

— Czy można — wsunęła się pani Wacława — Dzień dobry księżulku! Dzień dobry Walerciu. Zaspałam troszeczkę — uśmiechnęła się pogodnie — ale moglibyśmy się przejść, zobaczyć co się na świecie dzieje, odetchnąć świeżym powietrzem...

— Ja jestem gotów — powiedział ochoczo — narzucił pośpiesznie płaszcz i czapkę futrzaną trzymał w ręce. — Szkoda słońca tracić... Gdzie idziemy dzisiaj?

— Tak się księżunio pyta jakby istniał jakiś wybór, albo do parku, albo szosą...

— Gdybyśmy poszli do parku, mógłbym od razu przyjrzeć się co tam panna Celina z dziećmi wyrabia...

— Żadnych inspekcji, albo ksiądz idzie ze mną na spacer albo urzędowo... Ja mam dosyć tego gościnnego domu i wszystkich spraw jego. Jak najdalej od ludzi, jeśli to ma być spacer dla zdrowia, naprawdę przyjemny.

— Ma pani rację, ale obiecałem Łucji, że zaglądnę do dzieci...

— Dzień jest długi, przecież ksiądz wie, że ja zaraz zmarznę i ucieknę do domu, wtedy ksiądz może iść do Celinki... No chodźmy!

Chwilę certowali się w drzwiach, ale Wacława ujęła księdza pod rękę i wypchnęła przed sobą.



— Pa! Pa! — skinęła dłonią Walerci

— Niech Walercia trochę przewietrzy — dodał jeszcze ksiądz.

— Już go ze sobą powlokła! On tez jest dobry, leci na pierwsze skinienie... — Otworzyła okno z mocnym postanowieniem że mu wyzi bi pokój. Pomachała serwetą tak gwałtownie jakby ją zapach perfum Wacławy dławił w gardle.

— Czekaj, ja cię jeszcze urządzę! — trzasnęła drzwiami. — I na was znajdzie się sposób!

✤

Dęby, ciemne pogięte gałęzie z przymarzniętymi grudkami śniegu występowały wyraźnie na zielonawym niebie. Jakiś rozwłóczony obłok ledwie wystawał nad lasem. Śnieg szklił się, a powietrze pachniało zimową świeżością.

Niżej, między jałowcami kilka sikorek chwiało się na czubkach zeschłych ostów i rozrzucało na wiatr lekkie puchy.

Krzyki dzieci niosły się daleko. Biegały z zaczerwienionymi twarzami, obrzucały się garściami śniegu, który nie chciał się lepić, tylko rozsypywał w powietrzu i cukrował im czapki włóczkowe.

Trudno było Celince dzieci upilnować, co chwila rozbiegały się na grupki i kryły w krzakach. Kilka dziewczynek zjeżdżało na sankach, śnieg był tu głęboki, ziarnisty, płozy z chrzęstem krajały wierzchnią skorupę. Dziewczynki z wywieszonymi językami, dysząc gorącym obłokiem, pomagały sobie pchnięciami nóg, z trudem przecierały tor.

Tekluni co chwila opadała pończocha, błyskało różowe kolano, otarte ostrym śniegiem. Włodzio Aniserewicz odszedł z gromadką chłopców, słychać było ich głosy za krzaczastą grabiną, wrzaski zachwytu i głośne śmiechy.

— No, nareszcie jesteś — zawołała uradowana Celinka zobaczywszy Tadka Bukowskiego. Był bez czapki tylko w samych nausznikach, wiatr rozwiewał miękkie pasemka jasnych włosów. Ciemne spodnie miał wpuszczone do butów jak u narciarzy, górą bluza treningowa z wyładowanymi kieszeniami.

— Myślisz że się pchałem do księdza? Złapał mnie z rana i zapytał czy potrafię służyć do mszy. Nie wyglądało groźnie, więc się przyznałem, wtedy on mnie za frak i musiałem iść do kaplicy. „Jana nie ma, więc świetnie się składa, nareszcie zobaczę i pana w kościele“: tak mi klarował, nie wypadało zwiać.

— Słyszałeś, co na mnie wygadywał? I człowiek jest bezsilny ani go skląć, ani wyjaśnić się nie da...

— Co mu się dziwisz, sam jest w strachu, więc taki gorliwy...

— Ja mu nie wsadzam nosa w jego sprawy, czego się mnie czepia? Wystarczy Wacławy, żeby mu zrobić piekło...

— A chciałabyś?

— Pewnie, żebym chciała! Przecież nie mogę mu darować, i tak dosyć się nasłuchałam w kuchni...

— A umiesz trzymać język za zębami?

— Jak nie chcesz, to nie mów, obejdzie się bez łaski.

— Pytam się tylko...

— To się głupio nie pytaj! Znam tajemnice nie takie jak twoje...

— Celinko, już jesteś pomszczona! Nawet nie wiesz, ile ja mu krwi napsułem! Wy wszyscy gadacie, gadacie i nic z tego gadania nie wychodzi. A ja siadłem sobie na chwilę w bibliotece, zebrałem te biadolenia i spisałem skargę na maszynie. Poszła do Kurii.

— Niemożliwe! Ale kto temu uwierzy? Chyba się nie podpisałeś?

— A właśnie, że się podpisałem! Zresztą nie tylko siebie, bo i sędziego Nahorayskiego, jego żonę, Ratajczakową, Walercię, nawet ciebie i sołtysa z Mokronosu, coś trzydzieści podpisów. Jakby mnie brakowało, mógłby sędzia wpaść, kto to zmajstrował. Wczoraj przyszło wezwanie do księdza, sam je odbierałem od listonosza, będzie musiał jechać do miasta i grubo się tłumaczyć! To go ostudzi w zapałach..

— Tyś też jest kawał draba...

— Kochanie, popatrz, nawet nie kłamię, że to dla ciebie zrobiłem, a przecież mógłbym...

— Przyznaj się, po coś to pisał? Masz do niego żal?

— Żal? A o co? Pisać z zemsty, byłoby nieładnie. Daję słowo, pisałem całkiem bezinteresownie! Zrozum, nudziłem się tak cholernie w tej bibliotece, że po prostu musiałem! Miałem trochę uciechy, zaraz mi ulżyło!

— A skąd ci taki pomysł wpadł do głowy?

— Pomysł też nie mój, tylko Ratajczakowej. Widzisz, przyznaję się, jestem uczciwy... Latała po kuchni i krzyczała: „Skargę trzeba pisać do biskupa, żeby ich rozgonił...“ Pomyślałem, niegłupia myśl, będzie heca. I napisałem.

— Proszę pani! Proszę pani! — Włodzio stał przed Celiną, podnosił w górę ciemne oczy. Grzywka czarnych włosów spadała mu na czoło, czapkę miał zsuniętą na czubek głowy. — Niech ich pani pójdzie skrzyczeć, oni się bardzo brzydko bawią!

— Kto? — zapytał Tadeusz.

— Chłopaki! Oni mnie wyśmiewali!

— Nie powinieneś skarżyć, to jest nieładnie! — pouczał go Tadzio.

— A co oni tam robią?

— Bawią się w siusiane kółka!

Słychać było gwar głosów i wrzask tryumfalny: A nieważne! Nieważne! Nie zamknęło się!

— Oni nie chcieli się ze mną bawić.. Nienawidzę ich!

— Wszystkich? — zapytał zaciekawiony Tadeusz — Wszystkich dzieci nienawidzisz?

— Lubię jedną Teklunię!

— Tadek on im tylko zazdrości i dlatego chce popsuć zabawę!

Weszli między krzaki. Na polance chłopcy obracali się szybko i sikali żółto wykropkowując koła na śniegu.

— Co wy tu robicie! — wpadła na nich Celinka — Jazda mi stąd na słońce!

JULIAN STRYJKOWSKI

Pogenewskie refleksje

Ostatnio, ażeby wreszcie skończyć, debatowano do pierwszej w nocy. Widać było, że delegaci tęsknią do domu, a w swych rozmowach nie ukrywali, że obrzydł im przeciągający się pobyt w Genewie.

W niedzielę limuzyny wyrywały się drogą Vevey — Lozanna — Montreux w Alpy lub nad Leman do oberży „Chez Byron", patronującej ponuremu zamkowi Chillon.

W dni powszednie restauracyjny taras na najwyższym piętrze białego Palais des Nations zaludniał się wprawdzie wciąż jeszcze przedstawicielami wszystkich krajów i ras, spożywającymi tutaj w przerwie między posiedzeniami obiad, ale mało kto stawał przy kamiennej barierze i wpatrywał się w daleką mgłę Lac de Genève, wyciągnięte w słońcu miasto, lub tkwiący w głębi nieba szczyt Mont Blanc. Jak długo można podziwiać najpiękniejszy nawet widok? Spożywano pod pomarańczowym parasolem jałowe dania kiepskiej kuchni szwajcarskiej, jednostajnej i wymierzonej jak całe życie tego kraju, i zjeżdżano windą do sali zebrań.

I

Trudno było w tym wszystkim znaleźć sens. Pięćdziesiąt siedem narodów! Z daleka brzmi to tak autentycznie. A z bliska okazuje się, że to są w wielu wypadkach poprzebierani ludzie. Co zostało z Hindusa Ramaswami Mudaliar prócz karminowej pręgi bramina na czole lub z Pakistańczyka, korzystającego z przywileju siedzenia w karakułowej czapce wśród gentlemanów z obnażonymi głowami. Za ten przywilej stumilionowy blisko naród zapłacił prawdziwą wolnością. Długi, rzewny Abisyńczyk nie podnosząc ręki podczas głosowania powodował zgrzyt w amerykańskiej maszynie. Inny delegat o brązowej twarzy uśmiechał się z zakłopotaniem w stronę siedzącego obok przedstawiciela Albanii, jakby się usprawiedliwiał, że nie podnosił razem z „Szóstką" państw demokratycznych tabliczki z napisem: Afganistan. Państwa i pół-państwa siedziały według alfabetu potulne, popierając automatycznie wnioski Bentona i Mc Neilla.

To była konferencja, jak głosił oficjalny szyld, wolności informacji i prasy. Ale dyskusja, a jeszcze bardziej milczenie pewnych krajów, wykazało, jak ma wyglądać owa wolność, do czego ma służyć i jak się zamierza zabezpieczyć, ją przed złymi ludźmi

Można wszcząć zasadniczy filozoficzny spór na temat wolności, ale dyplomaci nie są na ogół bakałarzami, i wiedzą dobrze, że nawoływanie do wojny, lub puszczanie w świat fałszywych wiadomości winno być w cywilizowanym społeczeństwie zabronione na równi z inspirowaniem morderstwa lub kradzieży, i nie musiał przypominać tego minister Grosz. A jeśli szef polskiej delegacji to uczynił, jego słowa były przeznaczone nie dla tych, którzy przybyli na konferencję z gotowym planem jej rozbicia.

Obserwowałem podczas przemówienia Grosza dyplomatę amerykańskiego i angielskiego, siedzących obok siebie. Poza bardziej zasadniczymi sprawami połączyła Bentona i Mc Neila wspólna litera alfabetu. United Kingdom okazało się dla tego celu nazwą wprost opatrznościową.

Konferencja wolności informacji już na pierwszym posiedzeniu pokazała swoje oblicze. Gra Ameryki stała się od razu przejrzysta. Nie dopuścić do żadnej wspólnej umowy. Benton przeprowadził robotę szytą tak grubymi nićmi, że stało się zrozumiałe usunięcie go z zajmowanego w USA stanowiska. Nawet yankesowskie prostactwo w dyplomacji musi mieć swoje granice. Miłość angielska nie jest tak gorąca, żeby dzielić się wytrawnym doświadczeniem tradycji Palmerstonów i Beaconsfieldów z dorobkiewiczami zza Oceanu. Trudno wprawdzie dać konkretne dowody angielskiej radości z potknięć i niepowodzeń bogatego sojusznika, ale dziennikarze londyńscy, pamiętający lepsze czasy swej ojczyzny, nie taili niechęci dla wysłanników Marshalla w dziedzinie prasy. Od nich właśnie pochodzi powiedzonko, które obleciało kulisy: „Ameryka ma głosy a Rosja argumenty".

Plan amerykański przewidywał przeprowadzenie w Genewie — w oparciu o większość — sądu nad Wschodem. Otwarto, od razu na wstępie, ogień na Czechosłowację. Akcja została zakrojona na szeroką skalę. Wciągnięto nawet Szwajcarię, zamerykanizowaną od pasty do zębów po wstępne artykuły „Suisse" i „Gazette de Lausanne". Przyjazd delegatów na konferencję wolności prasy przywitały afisze rozlepione na murach Genewy. Nie wymieniając nazwy państwa, ubolewały one nad jeszcze jednym krajem, który stracił wolność, i ostrzegały własnych obywateli przed źródłem wszystkich nieszczęść — komunistami. Nazwę podał Benton, powołując się na słowa Trumana o „tragicznej śmierci Czechosłowacji". Dyplomata amerykański niedługo czekał na odpowiedź. Bentonowi, którego przemówienie było mieszaniną taniego patosu i prostactwa, dał lekcję elegancji i subtelnej ironii Hoffmeister. Szef ekipy czechosłowackiej zebrał oklaski między innymi za to, że dowcipem rozwiał ponury nastrój wywołany amerykańską wizją końca świata w Pradze. Hoffmeister mówił o delirium i halucynacjach korespondentów zagranicznych, którzy przebywali w Pradze podczas pamiętnych dni lutowych, a więc znali faktyczny przebieg zdarzeń. Jeśli chodziło by rzeczywiście o obronę prawdy a nie monopoli i trustów prasowych, należało by ich poddać kwarantannie, odebrać im pióra i maszyny do pisania, żeby nie mogli więcej kłamać o setkach trupów i krwi lejącej się na ulicach miast, w których nie została wybita ani jedna szyba.

Cóż, kiedy ich pracodawcy tak właśnie wyobrażają sobie wolność prasy: jako wolność szerzenia kłamstw o krajach nie ulegających hypnozie dolara. Cóż, kiedy konferencja została zwołana właśnie po to, żeby nadać oszczerstwu i kłamstwu sankcję konwencji międzynarodowej!

Fałsze na temat Masaryka, za życia nazwanego tchórzem a po śmierci męczennikiem, robienie z ministra Noska i generała Svobody hitlerowskich kolaboracjonistów, mimo że każdy pamięta pierwszego z jego codziennych przemówień w BBC z Londynu, gdzie przebywał podczas wojny, a drugiego z udziału w walkach pod Kijowem i Białą Cerkwią u boku Armii Czerwonej, z którą jako zwycięzca wkroczył razem do Pragi — to już nie wybryk chorej wyobraźni zagranicznych korespondentów — ale system. System, wobec którego jest się bezbronnym, jak długo środki informacji będą służyły zyskom nielicznej garstki. Trzeba było aż konferencji światowej, żeby móc przygwoździć kłamstwo i fałszerstwo. Niestety, nie zawsze może to przybrać tak zabawne zakończenie jak sprawa Doleżala katolickiego działacza społecznego i wybitnego dziennikarza, o którego wolność i życie kruszył kopie Amerykanin Martin. A w tym samym czasie Doleżal brał udział... w pracach jednej z komisji jako oficjalny członek delegacji czeskosłowackiej.

Porażki te załamały wprawdzie generalny atak, ale plan amerykański przewidywał jeszcze jedną prowokację. Za pretekst miała posłużyć nieobecność w Genewie czeskiego obywatela, byłego wiceprzewodniczącego podkomisji wolności informacji przy ONZ — dr. Sychravy.

Z przemówień Holendra Goedharda i Amerykanina Chaffeego można było wnioskować, że ze Sychravą stało się najgorsze. Chaffee, wyciągając rękę w kierunku Czechów zawołał: „Gdzie jest mój przyjaciel Sychrava?" — Sychrava przyrzekł mu osobiście, że będzie na konferencji. Tak, — dodał Amerykanin zjadliwie — ale to było jeszcze w styczniu!

Czesi odpowiedzieli spokojnie. Zaprotestowali przeciw mieszaniu się w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa, które ma prawo wybrać reprezentację zagraniczną według własnego uznania. Jeśli idzie o dr. Sychravę, to on sam najbardziej zdziwiony będzie tą nagłą miłością ludzi, którzy za pomocą maszyny do głosowania dusili każdą jego inicjatywę w Lake Success, uśmiercali każdy jego wniosek, udaremniali każdy jego wysiłek, zmierzający do ukrócenia kłamstwa zmonopolizowanej prasy. Wszelkie zaś obawy o jego losy są płonne. Przebywa on w Pradze i spokojnie pracuje na swym stanowisku. Jeszcze jedna prowokacja spaliła na panewce.

Były i inne prowokacje, ale przytoczone przykłady wystarczą. Ilustrują one dostatecznie metody "wolnej" informacji państw anglosaskich, choć nie oddają całego wysiłku ZSRR i krajów demokratycznych, które, rozprawiając się z dotychczasową metodą przekręcania i fałszowania faktów, pragnęły drogą wspólnie przyjętych rezolucji ukrócić samowolę monopoli i trustów prasowych.

II

Zasadnicza jednak walka rozgorzała wokół dwu określeń: „podżegacz wojenny" i „demokracja". Na tę płaszczyznę dyskusji trzeba było przeciwników wciągać przemocą. Uczynił to Bogomołow.

Na jednym z zebrań plenarnych zauważyłem, że pani Lidia Bogomołowa z trudem powstrzymując się od śmiechu podsuwała ambasadorowi jakąś gazetę. Powód wesołości wyjaśnił się na przerwie: było to zdanie wydrukowane zdaje się, w „Tribune de Genève", o szefie delegacji sowieckiej, który powtarzając wciąż jedno i to samo, wbija gwóźdź w głowy swych antagonistów. Było to wprawdzie śmieszne wyobrazić sobie Bogomołowa walącego młotem w głowę siedzącego obok niego Daviesa, ale szwajcarska gazeta powiedziała więcej, niż zamierzała

Przez cztery tygodnie Bogomołow niezmordowanie i systematycznie mówił o podżegaczach wojennych i o obrońcach faszyzmu. Przytaczał fakty, których nie trzeba było daleko szukać. Przychodziły same do ręki. Szczucie do wojny było akompaniamentem konferencji genewskiej, dyrygowanym zza Oceanu. 31 marca, kiedy w sali zdobnej w emblematy miłości pokoju dyskutowano nad projektem rezolucji amerykańskiej o wolności informacji, ukazał się w „New York Herald Tribune" artykuł o planach agresji przeciw ZSRR, zaopatrzony w mapkę baz lotniczych ze strzałkami wskazującymi bombowcom drogę do miasta Związku Radzieckiego. Nie zapomniano przy tym wyznaczyć punktów, gdzie według słów samego mistrza Marynarki Johna Sulliwana „ukazały się łodzie podwodne należące do państwa, które nie znajduje się po zachodniej stronie żelaznej kurtyny". Tuż pod nosem konferencji w „Gazette de Lausanne" można było 13 kwietnia przeczytać, że „strategia Londynu, Waszyngtonu, Paryża winna określić nie tylko najlepszy sposób pokonania Rosji, ale również sposób najlepszego zapewnienia bezpieczeństwa Europie zachodniej jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych". Tak pisał nie jakiś dziennikarz z prasy Hearsta czy Mc Cormicka ale Walter Lippman.

Konsekwentne przeciwstawianie abstrakcyjnym medytacjom konkretnych faktów nie mogło pozostać bez śladu. Nie będzie w tym przesady, jeżeli powiem, że Amerykanie i Anglicy bali się każdego wystąpienia Bogomołowa. Kiedy podnosiła się jego potężna postać, zalegała cisza, mimo że niewielu rozumiało język rosyjski. Wiedziano, że teraz ukażą się, choć na chwilę, jasne i proste kontury spraw celowo zamazywanych pustą frazeologią świętoszków. To były właśnie uporczywie powtarzane wyjaśnienia, co to jest podżegacz wojenny i gdzie się znajduje. Trzeba przyznać, że był to temat dla Anglosasów niebezpieczny. Dla szermierzy „absolutnej" wolności wytwarzała się kłopotliwa sytuacja. Nikt nie odważył się przeciwstawić, ale odpowiednie wnioski Bogomołowa czy przedstawicieli Polski, Jugosławii, Czechosłowacji, utrącano przez głosowanie dyrygowane tabliczką USA. Wśród niektórych delegatów a nawet pewnej części dziennikarzy anglosaskich panowała konsternacja. Gwóźdź Bogomołowa na pewno nie przebił twardych głów angielskich czy amerykańskich, ale zaistniała możliwość całkowitego zdemaskowania się w oczach opinii publicznej i to tuż przed wyborami na prezydenta w Ameryce. Po kilkunastu więc posiedzeniach wpłynęła rezolucja anglosaska, wspominająca wstydliwie o podżegaczach wojennych. Zostało użyte słowo, którego się obawiali przedtem jak diabeł święconej wody!

Wtedy stało się coś, czego autorzy wniosku nie przewidywali. ZSRR i państwa demokracji ludowej głosowały za jego przyjęciem. Po raz pierwszy wbrew intencjom murowanej większości zapanowała jednomyślność. Chęć wymanewrowania „Szóstki" zakończyła się fiaskiem.

Wściekłość swą wyładował Benton w Paryżu, a potem w Wiesbadenie, mając jako słuchaczy dziennikarzy niemieckich. Po rozbiciu amerykańskiego planu przeprowadzenia sądu nad Wschodem trudno było teraz mimo wszystko wystąpić w Genewie z napaściami, na jakie można sobie dzisiaj pozwolić we Francji lub zachodnich Niemczech. Na miejscu została zdwojona dyscyplina głosujących i odtąd już do żadnych rezolucji, zawierających choćby cień potępienia dla podżegaczy wojennych, Amerykanie nie dopuścili. Zdarzyło się wprawdzie, że za wnioskiem polskim głosowało 11 krajów, przeciw 12 przy 10 wstrzymujących się, ale dotyczyło to innej kwestii: dyskryminacji rasowej.

III

Dyskryminacja rasowa była trzecim zasadniczym problemem konferencji.

Dziwnie musieli się czuć przedstawiciele narodów kolorowych, zajmujący z łaski Ameryki czy Anglii wysokie nieraz stanowiska. Filipińczyk Romulo był przewodniczącym konferencji, a mianowany niedawno angielskim Sirem Ramaswami Mudaliar kierował pracami komisji prawniczej. Łatwo odgadnąć, co czuli oni, kiedy widzieli, jak patronowie odmawiają ich krajom najprostszych ludzkich praw. Trudno przekupionego nawet Murzyna podejrzewać o sympatię dla obrońców lynchu. Nawet najbardziej służalczy Chińczyk Czang nie mógł głosować przeciw wnioskowi Grosza, który żądał równych praw dla kolorowych. Anglosasi nie starali się wcale ukryć, że prawo do wolności słowa narodów kolonialnych i podopiecznych jest prywatną rzeczą białych panów. Jak zechcą to dadzą, a jak zechcą to zabiorą. Wystarczy tylko napisać odpowiedni list do Sekretarza generalnego ONZ, aby nie czekając nawet na jego odpowiedź, gwiżdżąc w zasadzie na jego opinię rozporządzić się według własnego widzi mi się.

Nie tak dawno został zniszczony jeden ośrodek dyskryminacji rasowej w sercu Europy. Kosztowało to miliony ofiar. Dziś problem ten nie przestaje być groźną przestrogą nie tylko dla nie-białych. Odrzucenie wniosku polskiego (większością jednego głosu!), uniemożliwiającego dzielenie świata na rasę panów i niewolników, łączy się logicznie z odrzuceniem drugiego wniosku, zakazującego wtrącanie się w sprawy wewnętrzne suwerennych państw. Chęć paraliżowania samodzielności krajów ma to samo źródło co ujarzmianie ludów kolonialnych.

I to było widoczne od samego początku. Amerykanie przybyli do Genewy, żeby narzucić swoją wolę i doprowadzić do dalszego pogłębienia podziału świata. Nie mówili z nikim, nawet z Anglią, jak równy z równym. Satelitą nie jest się z nadmiaru sił i dlatego trzeba cierpliwie znosić upokorzenia. Anglia ostatkami starała się jeszcze imitować wielkie, samodzielne imperium, ale Francja Belgia, Holandia stoczyły się do poziomu środkowoamerykańskich republik. Na tym odcinku plan amerykański udał się najpełniej. A takie kraje jak Pakistan, Hindustan, Syjam, Abisynia Afganistan? Budzące się dopiero do samodzielnego życia?

Od początku szukałem sensu tej konferencji, której wyniki były z góry wiadome. Znalazłem go w demaskowaniu kłamstw, prowokacji obrońców podżegaczy wojennych i faszyzmu. Zrozumieją go miliony ludzi we wszystkich krajach. Ale jeszcze głębszy sens dostrzegłem w odruchach przedstawicieli (nawet tych zaprzedanych) narodów kolorowych. Głosowanie za wnioskiem polskim mimo nacisku anglosaskiego było jednym z sukcesów pracy demaskatorskiej na konferencji, i bardziej ujawniało prawdziwe uczucia ludów kolonialnych, walczących o wyzwolenie niż oficjalne przemówienia Romula czy Sira Ramaswami Mudaliar. Wbrew tym kupionym przedstawicielom przenika świadomość, kto jest obrońcą a kto ciemięzcą. Pod tym względem konferencja była dobrą lekcją. Wbrew żelaznej kurtynie kłamstw, oszczerstw i prowokacji zmonopolizowanej prasy, lekcja ta nie pójdzie na marne. To był sens, jaki konferencji nadały postępowe siły świata.

Julian Stryjkowski

Uciekali skuleni, jeden przez drugiego. Pierwsi, którzy nurkowali w jałowce, krzyczeli radośnie, uszczęśliwieni, że udało im się umknąć. W głosach ich było tyle szczęśliwej głupoty, że Tadeusz też się roześmiał.

— Teraz niech mnie pani rozepnie! — prosił Włodzio. — Teraz ja, ja naprawdę muszę...

— Nie udawaj! — rozgniewała się Celinka. — Idź mi się zaraz bawić!

— Proszę pani, prędko! — dreptał w miejscu.

— Może on jednak potrzebuje — odezwał się Tadek. — Wysadź go lepiej! Dziecko częściej na zimnie...

— Ja wiem lepiej! — Idź się bawić, bo ci dam w skórę! Nie wtrącaj się Tadziu do spraw, o których nie masz zielonego pojęcia! On chciał tylko spróbować, czy potrafi jak tamci... Trzeba tę bandę trochę znać!

Śnieg piszczał pod butami. Przeszli parę kroków.

— Popatrz — powiedział Tadeusz — widzisz ich w dole?

Na mostku, stali oparci o poręcz — ksiądz i Wacława. Czarna sutanna rysowała się wyraźną plamą, widać było każdy gest, rozmawiali z ożywieniem.

— Co teraz na niego spojrzę, chce mi się śmiać!

— I nic ci go nie żal?

— Nie. Lubię odgrywać rolę losu, lubię jak koło mnie kipi. Życie powinno być ciekawe!

— Jak mało ci jeszcze wrażeń, to tylko pomów z Batogiem, on już się postara, żebyś się nie nudził.

— Właśnie myślałem o tym, nie zawadziło by go poznać.

— Mówisz tak, jakbyś miał własne plany. Chcesz, może was dziś skontaktuję?

— Proszę pani! — usłyszała wrzask dzieci — Proszę pani, Włodzio się zlał!

— A widzisz, mówiłem ci — tryumfował Tadek — teraz go trzeba szybko do domu...

— On mi to na złość zrobił! — tupnęła nogą Celinka. — Nie będę dla niego jednego wszystkim dzieciom przerywała zabawy. Tekluniu! Tekla! Chodź kochanie i zaprowadź Włodzia do kuchni, niech go Walercia przebierze, tylko prędko, żeby się nie przeziębił!

— Dobrze, proszę pani — powiedziała grzeczniutko dygając. Wzięła chłopca za pusty rękaw i powoli poszli w stronę zamku.

— Dlaczego nie prosiłeś? — zapytała przejęta.

— Prosiłem, tylko pani mnie skrzyczała, a sam nie mogłem... Nie mam rączek...

— Poczekaj, ja wczoraj sobie umyśliłam, zrobię ci wspaniałe ręce, tylko muszę znaleźć trochę drutu...

— Drut jest w wozowni, cały kłąb!

— No to biegnijmy!

— Nie mogę tak szybko, wszystko mi się lepi...

Słońce świeciło jasno. W zacisznych półkolach drzew, osłoniętych od powiewów, czuło się ciepło słoneczne, pachniały mocniej żywiczne gałęzie. Dzieci zjeżdżały po stoku, kłębiły, oblepione sanki musiały się przewrócić, dalsza jazda odbywała się na spodniach. Chłopcy tarzali się w śniegu, dziewczynki piszczały judząco. Niektóre, zgrzane, ukradkiem lizały grudki lodu.

— Tadziu, powiedz mi kiedy się ten front zbliży, już się nie mogę doczekać.

— Nie wiem, ale chyba niedługo, może jeszcze dwa, trzy dni... Żeby się tylko armaty odezwały, już byśmy wszystko wiedzieli.

— Po wczorajszej nocy — dziwny spokój?

— Aż podejrzany! Przecież byłby jakiś ruch na drogach, jakieś przegrupowania wojsk, wprawdzie jesteśmy z dala od głównego traktu, ale manewr taktyczny najłatwiej przeprowadzić bocznymi drogami...

— Dziś będę wiedziała, Batog wróci ze sztabu z nowymi instrukcjami, myślę, że przywiezie rozkaz uderzenia.

— To twój szef?

— Nie, niezupełnie... Dowódca oddziału partyzanckiego AK z tego terenu.

— Dużo ma ludzi?

— Teraz nie, zima, rozpuścił do domów, ale w każdej chwili może ich wezwać! Latem, przed waszym powstaniem miał przeszło trzystu.

— Ludzi zawsze jest dosyć... Ludzi nie braknie, tylko żeby broń była...

— Broń też jest!

— Znam te magazyny, w Warszawie przekonaliśmy się... Oddziały gdzie indziej, broń gdzie indziej, właściwie fasowaliśmy ją u Niemców, ale za jaką cenę...

— Nie bój się, broń jest pod ręką, dosyć jej i dla ciebie wystarczy, żebyś tylko chciał z nami...

Popatrzył w jej zielonawe źrenice, pełne światła, uśmiechnął się. Pochwyciła go za rękę — Tadek — szepnęła — poszlibyśmy razem do akcji...

— No cóż robić? — Pójdę! Byłbym niepocieszony, gdyby mnie robota ominęła. Ja też nam z Niemcami rachunki do wyrównania! Życie powinno być ciekawe!

— Więc mogę liczyć na ciebie?

— Mur — beton! — Tylko z góry ci mówię, robota poważna, z głową... Inaczej gwiżdżę na was...

— Bądź spokojny, u nas wszystko z ołówkiem w ręku. Musi grać!

— Przyjdziesz dziś na górkę, Celinko?

— Przyjdę, żeby tylko Batog przyjechał...

— Wolałbym cię samą widzieć, spróbował ją niezręcznie objąć i pocałować, zderzyli się suchymi z mrozu wargami.

— Uważaj, dzieci patrzą! Później Gabrynia wszystko Nahorayskim opowiada!

— One jeszcze nic nie wiedzą! Nie wymagaj, żebym za każdym razem jak cię chcę pocałować, chował się za choinkę!

— Czy robisz to z nudów, czy naprawdę mnie kochasz?

— Kocham — powiedział twardo. — To też jest rodzaj słabości... Nie wiem czy jutro nie będę się przed tobą bronił. Jeżeli ma się taką drogę, jaką ja sobie wytyczyłem, nie wolno się za wcześnie wiązać.

— A czego ty chcesz?

— Iść z życiem! Z wielką falą co nadchodzi! Być stale na wierzchu — mówił patetycznie unosząc twarz w słońce. — Nie dać się zepchnąć na dół!

Celinka się roześmiała radośnie.

— Zlecieć można tak łatwo, o, pchnę cię i już polecisz...

Mimo że zarył się obcasami w śniegu, nie mógł się zatrzymać, zbiegał dużymi skokami, za nim spadała Celinka. Włosy miała rozwichrzone, wargi wilgotne i dyszące ciepłem. Stanęli dopiero między rozkrzyczanymi dziećmi.

— No, widzisz i na dole nie jest strasznie!

Chłopiec stał z ponurą twarzą i z zaciśniętymi pięściami. Popatrzył z niechęcią na roześmianą dziewczynę.

— Tadziu, czy ci co zrobiłam?

— Nie. Jeszcze nie, ale na pewno zrobisz — pokiwał smutnie głową. — Trudno, tak widać sądzone...

— Coś ty sobie wymyślił? — zaniepokoiła się. — Powiedz mi zaraz.

— Dobrze, powiem ci... Pomyślałem, że przez ciebie zginę..

— Tadek, nie mów głupstw — pogłaskała go po policzku ciepłymi palcami — Tadziu, rozchmurz się...

W słońcu, na błyszczącym śniegu, wśród radośnie krzyczących dzieci trudno było długo utrzymać powagę, mimo że przeczucie wstrząsnęło nim głęboko, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Tadziu, dlaczego jesteś taki okrutny — objęła go i położyła głowę na ramieniu — tak kocham cię mocno...

Powieki jej opadały, spod rzęs powoli spłynęła duża łza.

— Celinko — szepnął poruszony — czym się przejmujesz... — Wytarł jej policzek szorstką rękawicą. — Chciałbym, żebyś mi wierzyła, nawet jeśliby los nas poróżnił. Kochaj mnie, tak bardzo potrzebuję, żeby mnie ktoś kochał...

— Wierzę ci Tadziku, wierzę jak nikomu — szepnęła. Osłonięta jego ramieniem, wtulona w miękkie, włochate sukno, czuła ciepło słoneczne łaskoczące po skroni i uchu, krzyki dzieci jakby oddaliły się, widziała niebieskie cienie gałęzi na śniegu, mogłaby tak usnąć spokojna, pewna bezpieczeństwa.

Nagle usłyszeli głuche puknięcia, jedno po drugim, jakby wysoko ruszył traktor. Podnieśli głowy. Nad wierzchołkami drzew w bladawym niebie otwierały się czarne parasole dymów. Ostatni był bliżej, błysnął czerwono i zaraz obrastał czarnym puchem.

Jeszcze nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Odgłos wybuchu przepadał szybko, dopiero cienkie nici gwizdów biegnących przez powietrze, jakby wprost na nich zmusiły ich do przycupnięcia na śniegu.

— Dzieci, uciekamy do domu! — zgarniała je Celinka wyciągniętymi rękami.

— Co to było, proszę pani? Czy to armaty strzelają?

Celinka spojrzała na Tadka.

— Tak, armaty. Prędziutko do domu! — Nie wiesz co to — uśmiechnął się do dziewczyny — granat na rozprysk. Macają Niemców! Nie ma na co czekać!

(Dalszy ciąg nastąpi)

ESTHER BORCHGREVINK

Dawny i nowy teatr w Norwegii

Esther Borchgrevink, znana literatka norweska, prowadzi dział teatralny w czasopiśmie „URD", wychodzącym w Oslo. W artykułach swoich uwzględnia twórczość literacką, a zwłaszcza dramatyczną, nie tylko Norwegii ale i innych narodów. W najbliższym czasie ukaże się jej książka o Szekspirze. Polska i rozwój polskiego teatru po wojnie stanowi przedmiot jej szczególnego zainteresowania.

Hans Jacob Nilsen w roli Hamleta

Teatr norweski w porównaniu z teatrem innych krajów europejskich jest teatrem nowym. Norwegia, jeden z najmniejszych krajów w Europie, ze swoją trzymilionową ludnością była przez czterysta lat (1380 — 1814) kolonią silniejszej militarnie Danii. Językiem oficjalnym przez wszystkie te lata był język duński, a stolicę Danii Kopenhagę z jej uniwersytetami i teatrami uważano za stolicę obydwu krajów. Artyści i studenci norwescy przez wiele wieków ciągnęli na studia do Kopenhagi, gdzie oprócz zdobywania wiedzy mogli nawiązać kontakty z całym prawie światem.

I tak pierwszy dramaturg norweski Ludwik Holberg (1684 — 1754) opuszcza swój rodzinny, położony na zachodzie, ruchliwy port Bergen i przewędrowawszy wiele krajów europejskich osiada w Kopenhadze. Tam też pisze wszystkie swoje komedie satyryczne. Holberg, to norweski Molier. Sztuki Holberga były grane przez artystów duńskich w teatrach duńskich, które pierwsze je wystawiły. Holberg umarł w Danii i tam został pochowany. Toteż Duńczycy uważają go za swego pisarza, Norwegowie natomiast dotąd nie mogą się z tym pogodzić. To tak, jakby ktoś powiedział Polakowi, że Conrad był Anglikiem!

Rok 1814 i koniec wojen napoleońskich przynosi Norwegii niepodległość. Zgromadzenie Narodowe uchwala konstytucję. Po długiej zimie, nareszcie wiosna, odrodzenie. Budzi się życie społeczne, ekonomiczne, kulturalne. Nie jest moim zadaniem wchodzić tutaj w szczegóły tego niezwykle interesującego okresu naszej historii. Ograniczę się jedynie do wskazania kilku elementów, które stworzyły podbudowę pod pierwszy narodowy teatr norweski.

Owe lata po roku 1814, to czas przebudzenia poczucia narodowego w całym kraju. Nasi poeci, malarze, muzycy odkrywają nowe źródła natchnienia — staronorweską kulturę. Ta zaś narodowa kultura przechowała się nie po miastach, ale wśród ludu. Strzegli jej prości ludzie zarabiający pracą rąk na życie, rolnicy z samotnych wzgórz, głębokich dolin, wąskich, odosobnionych fiordów. Mieszkali oni w drewnianych chatach pełnych prostoty, a pięknych w liniach i stylu. Sprzęty wykonywali sami kunsztowną robotą, ze znajomością artystycznego rzemiosła, tak zawsze cenionego w Norwegii. Stare kościółki z ciosanego kamienia były dziełem miejscowych architektów i rzeźbiarzy, którzy z głębokim poczuciem i artystyczną intuicją potrafili wyrazić charakter i temperament narodu w swej sztuce.

Z ludu wyrosły również prawdziwe talenty narracyjne i muzyczne. Pełne dramatycznego prymitywizmu melancholijne pieśni ludowe przekazywano z pokolenia w pokolenie. Bo czyż, na przykład, wspaniała, dzika, „dramatyczna" norweska przyroda nie mogła uskrzydlić ludzkiej fantazji?

I dziwne, że właśnie muzyk stał się twórcą teatru narodowego; był to świetny, stawiany na równi z Paganinim skrzypek XIX w. Ole Bull, którego kompozycje oparte na melodiach ludowych znane są w Europie i Ameryce. Dzięki jego natchnionej inicjatywie i gorącemu entuzjazmowi wybudowano pierwszy teatr norweski (otwarty w r. 1850), w którym grali aktorzy norwescy. Do tego bowiem czasu tylko Duńczycy tworzyli w Norwegii trupy aktorskie i urządzali przedstawienia teatralne.

— Czyżby to było możliwe, aby naprawdę język norweski mógł rozbrzmiewać ze sceny? — pytano wówczas wielu. — Tak, to możliwe — odpowiadał Ole Bull i zorganizował pierwszy zespół utalentowanych artystów, którzy stworzyli pierwszy narodowy teatr w Norwegii. W rok potem Ole Bull podpisał pamiętny kontrakt z młodym, nieznanym autorem. Był nim Henryk Ibsen, który miał pracować jako reżyser i dramaturg dla teatru Bulla. Ibsen mieszkał w Bergen przez lat sześć, pisząc co rok jedną sztukę. Są to dramaty historyczne — romantyczne, nie należące do wielkiej jego twórczości i obecnie bardzo rzadko grywane. W roku 1854 Ibsen osiadł w Oslo jako kierownik artystyczny teatru norweskiego. Doświadczenie zdobyte w Bergen posłużyło mu teraz do stworzenia jego nieśmiertelnych dramatów. Można by rzec, że tak jak Szekspir i jemu współcześni, to podstawa nowoczesnego dramatu angielskiego, tak Ibsen i drugi dramaturg Björnstjerne Björnson, to podstawa dramatu norweskiego.

Tordis Maurstad jako Oliwia w „Wieczorze Trzech Króli" Szekspira

W roku 1899 powstaje w Oslo wielki budynek dzisiejszego „Teatru Narodowego". Wyrosło też nowe pokolenie aktorów, może najbardziej utalentowanych ze wszystkich, jakichśmy w ogóle posiadali. Od początku tego wieku aż do roku 1940 mieliśmy nieprzerwany ciąg pierwszorzędnych artystów w „Teatrze Narodowym", przy czym przez wiele lat najpiękniejszą gwiazdą była wielka artystka i reżyserka, Joanna Dybwad, która ostatniej zimy zagrała przed rozentuzjazmowaną publicznością — Matkę Azę — w „Peer Gyncie" Ibsena może po raz ostatni.

Obdarzona wyjątkową żywotnością Joanna Dybwad przez wiele lat grywała we wszystkich prawie sztukach, — od greckich tragedii do Szekspira, Schillera, Ibsena, Strindberga, Shawa oraz innych współczesnych europejskich i amerykańskich dramaturgów, jak Pirandello, Capek, O'Neill. Ibsen był jednak dla niej jednym z najbliższych i najbardziej ulubionych autorów. Toteż mimo podeszłego wieku Joanna Dybwad zdobyła się na stworzenie wielkiej, podniosłej postaci Matki Azy, która to rola zostaje przyjęta przez zawsze jej wierną publiczność jak i fachową krytykę z najwyższym uznaniem.

Razem z Joanną Dybwad gra Alfred Maustad jako Peer Gynt. Jest to jeden z najpopularniejszych artystów tak scenicznych jak i filmowych. Pochodzi z ludu i jako wiejski chłopak spędza swe dzieciństwo i młodość w jednej z najdzikszych i najbardziej górzystych okolic północnej Norwegii. Żywa wyobraźnia, szybkość reagowania i gestów, temperament o elementach romantycznych, a jednak niepozbawiony humoru — predestynują go na idealnego Peer Gynta.

— Czy Ibsen zawsze figuruje w repertuarze teatru norweskiego? — może zapytać polski czytelnik. Gdyby to pytanie zadano mi kilka lat temu, odpowiedziałabym—nie. Ale ostatni sezon teatralny (przynajmniej w Oslo) był prawdziwym sezonem Ibsena. Nasz teatr narodowy wystawił „Peer Gynta", „Dom lalki" i „Rosmersholm" w ciekawej szacie:

W „Domu lalki" rolę Nory grała jedna z najbardziej czarujących i utalentowanych artystek, Tora Segelcke — ponad sto razy Nora Tory Segelcke zna cała Skandynawia i Finlandia. W ubiegłym roku Tora Segelcke otrzymała zaproszenie do zagrania roli Nory w Zurychu i Pradze.

Największym jednak wydarzeniem tego ibsenowskiego sezonu był „Rosmersholm", wystawiony przez Agnes Mowinckel i Gerd Grieg, jako bardzo interesującą Rebeką West.

„Teatr Narodowy" i „Teatr Norweski", to obecnie dwa czołowe teatry w Oslo. Dyrektorem i zarazem artystą-reżyserem „Teatru Norweskiego" jest Henryk Jakub Nilsen, znany jako jeden z najlepszych odtwórców Hamleta. Najnowszym osiągnięciem tego teatru jest wystawienie „Peer Gynta" z H. J. Nilsenem jako Peerem i w jego reżyserii. Przedstawienie to, jedno z najbardziej awangardowych w Norwegii, jest szeroko omawiane w prasie. Nilsen mianowicie zerwał ze starą romantyczną tradycją, dając sztuce tyle realizmu, ile go dał sam Ibsen. Stronę muzyczną opracował jeden z naszych młodych kompozytorów Harald Saeverud. „Peer Gynt" bez powszechnie znanej muzyki Griega, to rewolucja. Kiedyś może wystawimy tę sztukę zupełnie bez muzyki.

Pisząc o teatrze norweskim nie mogę nie powiedzieć polskim czytelnikom, że jednym z najpiękniejszych od zakończenia wojny przedstawień w Oslo, jest „Antygona" Sofoklesa. Grała ją Tordis Maurstad, czołowa artystka „Teatru Norweskiego". Jej Antygona była porywająca i wzniosła, ale zarazem bardzo prosta. Tak gra artystki, jak reżyseria i strona dekoracyjna przedstawienia tworzyły rzadko spotykaną harmonię. Reżyserował Knut Hergel, obecny dyrektor „Teatru Narodowego".

Esther Borchgrevink
przełożyła **Zofia Siwicka**

Dekoracje do „Antygony" Sofoklesa w „Teatrze Nowym" w Oslo

ARTUR M. SWINARSKI

„BANKIERZY RUIN" W WARSZAWIE

Teatr „Placówka". **Adam Ważyk:** „Bankierzy ruin", komedia w trzech aktach. Reżyseria: **Stanisława Perzanowska.** Dekoracje: **Władysław Daszewski**

Prawdziwy klimat „Bankierów ruin" — atmosferę przejściowości, improwizacji, dorywczości, nowości w całym środowisku, sytuacjach i uczuciach wydobyli dopiero w Warszawie **Perzanowska** i **Daszewski.** W takiej „Celestynie" z jej mnóstwem obrazów mógł się dekorator należycie popisać; tutaj (jedno skromne wnętrze przez trzy akty) zdawało by się, że nie. I właśnie: hic Rodus, hic salta! Dekoracja Daszewskiego sygnalizowała od razu klimat, który się na jej tle roztoczy, a malarsko była kompozycją nader interesującą w swej harmonii delikatnych kolorów, sprzęgniętych czarnym kwadratem owej dykty w oknie. Mam zastrzeżenie natomiast do barw ubioru Doboszowej: ta postać, która tworzy całkowity kontrast z prawie wszystkimi figurami sztuki, powinna wyłamywać się z gamy otaczających ją kolorów.

W przedstawieniu katowickim, z którego zdałem sprawę w nr. 18 „Odrodzenia", reżyserka kładła nacisk na jak najściślejszy kontakt między mieszkaniem „bankierów" a sąsiadującym z nim przez ścianę barem. Kontakt ten starano się nawiązać przy pomocy muzyki z baru, ukazujących się w drzwiach waluciarzy oraz kelnerki, która zjawia się regularnie w każdym akcie, by wynieść ze sceny zawsze tę samą butelkę... Stanisława Perzanowska zrozumiała, że ważniejszy jest kontakt mieszkania z ulicą i ruinami. Klamrą, która je spina, jest krótki, lecz ważny epizod z „poszukiwaczem", z hieną ruin. W Katowicach wykreślono tę scenkę! A przecież Ważyk, chociaż ma dopiero krótką przeszłość sceniczną, wie doskonale, że pewnych spraw nie wolno w teatrze zbyć „tajchoskopią" czy „relacją posłów". Dlatego właśnie wprowadza na scenę poszukiwacza zakopanych skarbów **(Łędyński)**, wyłaniającego się z kulisy dźwiękowej ulicy i ruin, kulisy towarzyszącej całemu przedstawieniu trafnie i żywo. Dlatego właśnie nakazał sobie autor, by takie wyeliminowanie dwóch postaci z akcji i społeczeństwa: aresztowanie Tornera przez Kobuza **(Woźniak, Wasilewski)** i ucieczka Hanki **(Salaburska)**, odbyło się na oczach widza. Bo wypadki ważne i decydujące muszą mieć na scenie swoją wymowę wizualną. Wykreślenie epizodu z poszukiwaczem było jedną z wielu krzywd, które wyrządzono Ważykowi w Katowicach, w teatrze przecież tak sumiennie prowadzonym.

Perzanowska i jej zespół wydobyli wszystko ze sztuki Ważyka, co w niej tkwi. Nie wygasła ani jedna pointa dialogu i to, co dzieje się między słowami i zdaniami, było podane jasno i wyraziście. Nie unikano pauz, nie przyśpieszano tempa, by forsować komediowość utworu — przydało by się może tylko jeszcze trochę wesołości i lekkości. Najgłębsza nawet sentencja nie straci na wadze, jeżeli się ją wypowie lekko i bez podkreślania.

Woźnik był na premierze nieco nieśmiały. Rola opanowanego, zimnego drania Tornera, deklamującego o piorunach i apokalipsie, jest trudna w sąsiedztwie żywiołowego Prząśnika, zwłaszcza, że go **Kaczmarski** swym temperamentem powiększył prawie do rozmiarów symbolu... tego Prząśnika, który skierowany na właściwą drogę, byłby pewnie wymarzoną siłą roboczą; a przypuszczać należy, że również Feliks, Ewa i Eliza wyjdą z katastrofy uleczeni i zdrowi. Z trzech panien z baru „Zacisze" tylko **Sojecka** (Ewa) **i Salaburska** (Hanka) były bez zarzutu, także i dzięki temu, że autor dał im role pełnokrwiste i psychicznie bogate. **Laskowskiej** (Eliza) brak jeszcze rutyny w prowadzeniu błyskotliwego, „salonowego" dialogu, której wymaga ta rola. Feliks **Wilamowskiego** miał w sobie znużenie człowieka wytrąconego z równowagi. Epizod starej Doboszowej **(Chojnacka)** okrasił przedstawienie i dał mu mocny finał. **Salaburski** (Henryk), którego pasjonującą autentyczność podziwialiśmy niedawno w „Nocach gniewu", zjawił się tym razem na krótko, wystrojony jak PD urzędnik z przedwojennego MSZ.

Autor, wiedziony instynktem samozachowawczym, nie był na premierze w Katowicach. I może śmiało uważać przedstawienie w „Placówce" za prapremierę swej komedii.

Artur Marya Swinarski

W poprzednim 21 (182) numerze „Odrodzenia", z dnia 23 maja 1948 r.: **Leon Kruczkowski:** Finale Berlina. — **Zbigniew Bieńkowski:** W sprawie śmietnika. — **Kazimiera Iłłakowiczówna:** Z cyklu: Siedmiogrodzkie Cekiny: Niemcy zabili..., Sowiecki pogrzeb. — **Ewa Fiszer:** Moje miasto. — **Mieczysław Jastrun:** Księżniczka Izraelska (I). — **Louis Aragon:** Piosenka o Radzie Miejskiej, przełożył **Jerzy Zagórski.** — **Marian Spychalski:** „Sylwester" dowódcą Warszawy. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca (7). — **Stanisław Gogluska:** Z życia literackiego Francji. — **Wen Yi-Tuo:** Noc wczesnego lata, przełożył **Czesław Miłosz.** — Sztuka dla dzieci i młodzieży: **Stefan Szuman:** Styl groteskowy w ilustracjach dla dzieci. — **Jan Marcin Szancer:** Z notatnika ilustratora. — **Hanna Januszewska:** Kołysanka. — **Krystyna Kuliczkowska:** Przyjaciele zwierząt. — **Mariusz Margal:** Spacerem po Brukseli. — Teatr: **Tadeusz Breza:** „Strzały na ulicy Długiej". — **Józef Słotwiński:** Myszy bez kota. — Książki: Satyra („Drewniana koszula" Władysława Smólskiego). — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: Amerykanie, Giltis, Cassini, XXX koncert symfoniczny. — Film: „Polska" — film produkcji radzieckiej. „Stalowe Serca" — film produkcji polskiej. — Korespondencja: **Kazimierz Brandys:** W sprawie błędów językowych. **Wojciech Bąk:** W sprawie „znaków". Camera obscura. — 13 ilustracji. — 8 stron.

Biblioteka dla teatrów amatorskich

Obowiązki dyletantów

Wiele rozlicznych nazw, jakimi zwykło się dzisiaj określać teatr niezawodowy (amatorski, ochotniczy, ludowy, świetlicowy, szkolny), wzbogaciło się jeszcze o jedną, którą powtarzamy tutaj za prof. Szumanem: teatr **dyletantów.** Autor, który w swej pracy na temat roli samorodnej twórczości w wychowaniu estetycznym („Pochwała dyletantów", Instytut Wydawniczy „Sztuka", Warszawa, 1947) poświęca dwa rozdziały niezawodowej sztuce aktorskiej, słusznie zwraca uwagę, że aktor-dyletant nie jest w niczym gorszy od aktora wyszkolonego, jeśli zamiast naśladować go w sposób nieudolny i pretensjonalny, stara się zrozumieć odrębność swej funkcji społecznej i artystycznej, jeśli w zestroju z danym zespołem usiłuje wytworzyć swój własny styl. Rzetelny, niezmanierowany dyletant może być jednak dobrym aktorem tylko wówczas, gdy będzie grał w dobrych sztukach, gdyż „jedynie wartościowy repertuar może uszlachetnić i pogłębić jego bezpośrednią, samorodną aktywność".

Zetknięcie z prawdziwą sztuką wychowuje więc zarówno aktora-dyletanta, jak widza, sztuka ta jednak musi być ponadto **dostępna.** Sprawa przedstawia się tutaj podobnie jak w dziedzinie literatury dla młodzieży. Charakter stosowany leżący u podstaw utworu winien ulec przekształceniu na elementy artystycznej formy, jeśli, zamiast w nieznośny sposób upraszczać i wulgaryzować widzenie świata, ma dać odbiorcy (a w tym wypadku i wykonawcy) pełnię przeżycia. Analogie są zresztą głębsze: trzeba bowiem podkreślić, że teatr ludowy i szkolny w mniejszych ośrodkach gra dla tego samego widza: w wieczornicach, akademiach i przedstawieniach organizowanych przez uczącą się młodzież bierze udział cała miejscowa ludność, stanowią one bowiem nieraz jedyną kulturalną rozrywkę. Zagadnienia tych dwu teatrów dadzą się więc w wielu punktach potraktować łącznie, a dotyczy to przede wszystkim repertuaru.

Sprawą najbardziej w chwili obecnej palącą jest udostępnienie teatrom ochotniczym repertuaru klasycznego jako tej podstawy, którą w planie całorocznej pracy winny uwzględnić w najszerszym zakresie. Praktyka wykazała, że ludność wsi i małych miasteczek reaguje niezwykle żywo na sztuki klasyczne, jeśli są one odpowiednio dobrane i podane (poprzedzone pogadanką w lekkiej formie na temat epoki i treści). Cóż z tego jednak, że kierownik zespołu znajdzie w bibliotece dramaty Słowackiego, Szekspira, komedie Moliera czy Fredry, jeśli nie wie, jak się do nich zabrać, jak poradzić sobie ze zbyt obszernym tekstem, ze scenami zbiorowymi, z trudnościami w zakresie dekoracji i strojów? A przecież odpowiednie opracowanie całych utworów lub fragmentów oddałoby nieocenione usługi w projektach wieczornic, akademii i pełnych przedstawień (edycje utworów klasycznych w ramach lektur szkolnych służą innym celom i nie spełniają swego zadania jako egzemplarze dla teatru). Tego podstawowego warunku wydawania klasyków nie wypełnia powojenny repertuar. Poza piękną inscenizacją „Dziadów" w opracowaniu Iłowskiego (LIOK, 1946) i operą narodową Bogusławskiego „Krakowiacy i górale", wydaną przez „Książkę", zabłąkane pozycje tego typu można znaleźć jedynie w osławionej z racji braku krytycyzmu i niskiego poziomu opracowań „Bibliotece teatrów amatorskich" (Katowice, Wyd. „Odrodzenie" T. Nalepy). Chociaż nowa seria tej biblioteki pod nazwą „Teatr dla wszystkich" rozpoczęła od takich pozycji jak „Nowy strój królewski" Andersena i „List" Fredry, co zdawało się budzić jak najlepsze nadzieje — właśnie w uwagach inscenizacyjnych we wstępie do „Listu" czytamy mrożącą krew w żyłach wskazówkę dla wykonawców, że wiersz w czasie przedstawienia należy wygłaszać „wprowadzając moment pauzy po każdej wypowiadanej linijce"!!!

Jako pewne zrównoważenie tej ucieczki od repertuaru klasycznego da się zaobserwować tendencja do burzenia sztucznych barier, dzielących „wielki" repertuar współczesny teatrów zawodowych od teatru dla mas. Niektóre wydawnictwa jak Biblioteka Świetlicowo-Teatralna TUR-u lub nowopowstały Instytut Wydawniczy „Sztuka" wydały drukiem na użytek teatrów ochotniczych takie utwory, jak Szaniawskiego „Powódź" i „Matka" oraz Zawieyskiego „Ocalenie Jakuba". I tutaj sprawa się wikła, troska bowiem o wysoką wartość artystyczną utworów dla teatru ochotniczego musi iść w parze ze znajomością psychiki mniej przygotowanego odbiorcy i z żywym odczuciem użyteczności społecznej utworu. Wydanie „Ocalenia Jakuba" a także „Pochwały dyletantów" (z której nieprzygotowany czytelnik nie odniesie korzyści) przez instytucję, mającą na celu „rozpowszechnianie wśród najszerszych warstw prac z zakresu teatru i kultury artystycznej", to przykład, do jakich nieporozumień prowadzi zbyt jednostronnie pojęta troska o „wysoki poziom", nie poparta znajomością najbardziej palących potrzeb terenu.

Potknięcia te wynagradza wydanie przez „Sztukę" dwóch wartościowych pozycji dla teatru ochotniczego, a mianowicie: „Drogi do świtu" Fepłowskiego i „Nowy Rok bieży" Rapalskiego. Pierwsza z tych sztuk — to utwór, w którym temat okupacyjny ujęty jest bez tych wszystkich nieznośnych przerostów, cechujących wydawnictwa dotychczasowe („Magazyny", „Ostrożny", „Dobrześ zrobił", „Wystawa sklepowa" i inne) — bez fałszywego patosu, uproszczonych „dramatów" psychologicznych, „czarnych" i „białych" charakterów i naturalizmu w odtworzeniu martyrologii Polaków. Autor, podobnie jak Tropaczyńska-Ogarkowa w analogicznej pozycji powieściowej „Za naszą wolność", nie stawia „wielkiego problemu" i dlatego właśnie daje obraz bezpośrednio przekonywający, ukazując po prostu grupę chłopców warszawskich w przededniu i pierwszej fazie powstania. Żaden z tych chłopców nie jest upozowany na idealnego bohatera, a wszyscy razem stanowią żywy przykład wewnętrznej odporności i tego charakterystycznego dla młodzieży warszawskiej „fasonu", który pomógł im przetrwać ciężkie chwile.

„Nowy Rok bieży" — to widowisko bożonarodzeniowe, pomyślane jako tradycyjne jasełka z intermediami. Owe intermedia są najciekawszą częścią utworu: przewijają się tutaj typy z różnych stron Polski i przedstawiciele różnych środowisk, a więc zarówno baca góralski, krakowiak lub „pieron" śląski, „cwaniak" warszawski i radca ze Lwowa, który podąża na Ziemie Odzyskane. W wypowiedziach tych postaci zwraca uwagę niezwykle staranne, a nie zaciemniające treści przez zbytni rygoryzm opracowanie gwary. Sceny intermediów są pełne życia i humoru, niepozbawione przy tym akcentów społecznych (Biedna i wiejski Bogacz); słabiej natomiast wypadły odsłony o charakterze zasadniczym, zwłaszcza „W Stajence", gdzie rażą ciężkie programowe przemowy królów i Kościuszki — wypowiedzi tego typu stanowią zresztą w każdym utworze jasełkowym punkt artystycznie najsłabszy. Wobec zdezaktualizowania „Betlejem polskiego" i niedostępności takich pozycji, jak „Szopka krakowska" Cierniaka, „Nowy Rok bieży" jest cennym nabytkiem w repertuarze gwiazdkowym.

Mimo że kilka omówionych powyżej pozycji — to niemal wszystko z zakresu teatru ochotniczego, o czym warto było wspomnieć — ogólna sytuacja w tej dziedzinie poprawiła się w porównaniu z rokiem poprzednim (por. „Odrodzenie" „Na drogach teatru ludowego" nr 3 i 4). Gorączkowy ruch wydawniczy w tym dziale (do maja 1947 wykazały się 124 pozycje, które wydane zostały przez 26 firm wydawniczych) uległ pewnemu zahamowaniu, niektóre instytucje zawiesiły działalność, a chociaż na tym odcinku zaznacza się nadal rozproszenie wysiłków, widoczna jest większa odpowiedzialność za każdą wydaną pozycję. Smutnym objawem jest fakt, że wskutek trudności finansowych zamilkły niemal zupełnie jako firmy wydawnicze takie instytucje jak: Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej i Ludowy Instytut Oświaty i Kultury, powołane chyba najbardziej nie tylko do rozprowadzania produkcji wydawniczej w terenie, lecz i do ujęcia jej w swoje ręce.

Należy dodać, że dla kierowników zespołów ochotniczych (po nieudałej pracy Stawowskiego „Teatr w świetlicy") ukazały się dwie broszury o charakterze poradników i informatorów. Z. Kwieciński w „Powojennym repertuarze dla teatrów ochotniczych" (Wyd. „Sztuka") grupuje pozycje wydawnicze według tematyki i ocenia z punktu widzenia artystycznego oraz od strony możliwości inscenizacyjnych, zaś wykaz bibliograficzny w zakończeniu wprowadza selekcję utworów według wartości. Pozycja ta spełnia pożyteczną rolę przewodnika w chaosie wydawniczym. „Poradnik dla reżyserów" Tadeusza Żeromskiego (Biblioteka TUR), opracowany bardzo przystępnie, zawiera elementarne wskazówki dla początkujących, zupełnie jeszcze nie zorientowanych w dziedzinie pracy teatralnej reżyserów.

Krystyna Kuliczkowska

W NASTĘPNYM NUMERZE:
Jerzy Broszkiewicz
„CHOROBA"

Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki

POEZJA

„WIERSZOWADŁA Z PROSTEGO KOWADŁA"
Adama Marca

Kraków — Warszawa, Wydawnictwo Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, 1947; str. 118.

Dr Józef Spytkowski przygotował do druku i poprzedził wstępem „Wierszowadła z prostego kowadła" Adama Marca, chłopa ze Szczepanowa. Książka ta jest drugą z serii „Biblioteki pisarzy ludowych". Pierwsza publikacja zawierała pracę pt. „Ciernistę ścieżki literatury ludowej" Józefa Kapuścińskiego. Piotr Stanisław Pigoń dał wstęp do tej książki pt. „Główne problemy literatury ludowej".

Sprawa naszego pisarstwa ludowego wywołała wiele sporów teoretycznych. Ogłoszony tom wierszy Adama Marca jako materiał literacki, stawia zagadnienie na właściwym terenie. Są to utwory prawie wyłącznie okolicznościowe, nacechowane zręcznością i płynnością, ale nie można w nich doszukać się jakichś specyficznych walorów ludowo - kulturalnych. Humor i satyra, żartobliwość tego samouka — wierszopisa też nie przynosi nic specjalnie artystycznego. Warto zapoznać się z tymi „Wierszowadłami z prostego kowadła" już choćby dlatego, by należycie ująć i ocenić czym są te utwory napisane przez pisarza gminnego — samouka o głowie otwartej i chłonnej o sądzie trzeźwym, lecz o kulturze literackiej nikłej. Dwudziestoośmiostronicowy wstęp dr Spytkowskiego daje życiorys A. Marca, środowisko ówczesnej literatury ludowej, wiąże jego twórczość z wsią. Wstęp ten mówi:

„Najczęściej krąg zainteresowań A. Marca nie wybiega poza krąg własnej parafii i miasta powiatowego, którego też został satyrykiem".

To stwierdzenie ustawia na właściwej drodze podejście do utworów autora „Wierszowadła z prostego kowadła". Dr Józef Spytkowski ujął dorobek pisarski samouka — wierszopisa w trzy rubryki: „Wiersze patriotyczne i społeczne", „Wiersze polityczne" oraz „Fraszki i wiersze różne". Jako próbkę jego satyry notujemy taki sześciowiersz:

Kogo spotkam, to się kłaniam...
Bo nie wiem, co przyszłość kryje...
Czy dla jakiegoś tam drania
Wnet nie krzykną: „Niech nam żyje".
Przeto na wszelki wypadek
Skarbię względy — chronię plecy.

Zręczny ten sześciowiersz nie jest unikatem w satyrycznym dorobku A. Marca.

Wydawnictwa Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury są cennym materiałem poznawczym. Dopiero jednak w zestawieniu z twórczością młodego demokratycznego piśmiennictwa widzi się różnicę czasu i poziomu. Dopiero obecnie, w nowej rzeczywistości polskiej, rozwinąć się mogą należycie talenty.

Franciszek Wierzynek

MICKIEWICZ—S. M. FULLER D'OSSOLI

W „Żywocie Adama Mickiewicza", napisanym przez syna jego, Władysława, figuruje (t. III s. 451—2) następująca wzmianka o stosunkach łączących poetę z jedną z najwybitniejszych postaci ówczesnego amerykańskiego świata kobiecego:

„Prelekcje Mickiewicza dostały się i do Ameryki; sposób, w jaki zapoznał publiczność francuską z Emersonem nie mógł nie uderzyć przyjaciół tego filozofa. Margaret Fuller, znakomita myślicielka i współpracowniczka Emersona, przyjechawszy do Paryża, zgłosiła się do Mickiewicza. Jeśli wywarł na nią wielkie wrażenie, to i sam był zdumiony nie tyle jej męską erudycją, co głębokością idei i wspólnością jej wyobrażeń z własnymi jego pojęciami. O zetknięciu tym z przedstawicielką ruchu umysłowego St. Zjednoczonych wspomina Aleksander Chodźko, ale niestety zbyt pobieżnie. W dzienniku jego pod datą 26 lutego (1847 r.) zapisano: „Autorka arcyważnego dzieła o wyzwoleniu kobiet*) Amerykanka Sara Margaret Fuller, urodzona w Ameryce z ojca bardzo uczonego, który ją sam wychował, z matki bardzo prostej kobiety, która za życia męża tylko śmiała się ciągle, a znów po jego śmierci tylko smutna ciągle, jest teraz w Paryżu. Osoba lat trzydziestu kilku, blondynka, tylko oczy czarne i w oczach tylko pozostało życie; ciało chude, pracami ducha i książkami zużyte. Umie po grecku, po łacinie i prawie wszystkie języki europejskie. Miała przeczucia i widzenia; wierzy, iż w życiu przyszłym będzie mężczyzną i że teraźniejsza epoka jest epoką wyzwolenia kobiety. Pojęcia jej o małżeństwie i wiele idei o życiu i przeznaczeniu człowieka są to pojęcia i idee zupełnie zgodne ze Sprawą, zdaje się stamtąd wzięte. Przyjaciółka Emersona i współwydawczyni dziennika zrobiła ślub niewychodzenia za mąż, czuje, że kobieta czy mężczyzna posłany do dokonania nowej epoki, jest już na ziemi, i cel jej przybycia do Europy jest znalezienie tego posłańca Bożego. Czytała kurs Adama i jego lekcje o Emersonie, napisała list, że pragnie z nim się rozmówić. Adam znalazł ją z pełną wiedzą własnego wyrobu o Sprawie. Mówił do niej w obecności wielu innych kobiet i takie na Fuller zrobił wrażenie, że siadła zemdlona na kanapie. Jest to nowe zawiązanie zrobione bez jego wiedzy z katedry *Collège de France*. Adam obiecał mi później opowiedzieć szczegóły rozmów z Fuller".

W odsyłaczu do tego ustępu podane są jeszcze następujące szczegóły biograficzne: „Sarah Margaret Fuller, urodzona 23 maja 1810 r., umarła w 1850 r.; założyła z Emersonem pismo *Dial*, wyszła za mąż za margrabiego d'Ossoli, który z powodu udziału w rewolucji włoskiej musiał emigrować; zginęła z nim i z dzieckiem: statek, na którym płynęli do Ameryki, zatonął bez śladu wśród burzy. Opuszczając Paryż ofiarowała na pamiątkę Adamowi egzemplarz ilustracji Johna Flaxmana do Homera, Heźjoda i Dantego".

W ciągu tylu lat nikt jakoś z biografów poety nie zainteresował się bliżej ową wzmianką, mimo że dokoła postaci M. Fuller wyrosła wcale pokaźna literatura, a i po niej samej pozostał wydany w roku 1852 dwutomowy pamiętnik oraz obszerna i obfita w szczegóły korespondencja.

Dopiero w ostatnich czasach przypomniano sobie o istnieniu tej amerykańskiej przyjaciółki Mickiewicza, przy czym okazało się, że w Bibliotece Uniwersyteckiej w Harvard leży sobie od blisko stulecia dziesięć nieznanych listów poety, pisanych do pani Fuller w latach 1847—1849.

Warszawianin Leopold Wellisz, przebywający obecnie w U.S.A., w wydanej w roku ubiegłym broszurze pt. „The Friendship of Margaret Fuller D'Ossoli and Adam Mickiewicz", opublikował tekst owych listów (podobno niezupełnie dokładnie) oraz podał garść szczegółów z historii omawianej przyjaźni. Jak słychać, prof. Stanisław Kot przygotowuje dla „Twórczości" obszerne omówienie tego epizodu z życia Mickiewicza wraz z poprawną redakcją jego listów.

Ograniczając się więc do zasygnalizowania powyższych faktów chcielibyśmy jedynie zaznaczyć, że jeden z wymienionych listów Mickiewicza zawiera pierwszorzędną rewelację: wyjawione w nim zostało wreszcie, po tylu latach, nazwisko odeskiej jego miłości, owej zagadkowej pani „D.D". Nazwisko to brzmi: hr. Załuska... Imię jej nie zostało jednak wymienione i nadal jest zagadką, której poświęcimy niebawem nieco więcej miejsca.

Leonard Podhorski—Okołów

*) Woman in the 19-th century. Londyn, 1847.

Historia jednego pierwotniaka*)

„Przyjrzyjmy się życiu pantofelka, może dowiemy się od niego czegoś o sobie" — pisze Dembowski. Wezwanie to jest zarazem wyzwaniem rzuconym wysokiemu samopoczuciu człowieka. Jakto, ta drobna istota, widzialna dopiero pod mikroskopem, ma mieć coś z nami wspólnego? Ma nas o czymś pouczać? Przecież pantofelek, to organizm bardzo prosty, stojący na najniższym szczeblu rozwojowym świata zwierzęcego.

A jednak — pantofelek i człowiek mają bardzo wiele cech wspólnych, różnice w większości wypadków dotyczą tylko wymiaru, skali a nie samej jakości zjawiska. Człowiek zjada kotlety, pantofelek znacznie mniejsze od siebie bakterie. Trawienie mięsa i bakterii przebiega podobnie, tyle że człowiek posiada skomplikowany przewód pokarmowy z wielką ilością gruczołów a pantofelek „ad hoc" utworzony pęcherzyk, który obejmuje bakterie. W obu wypadkach rozpoczyna trawienie białka pobranego pokarmu pepsyna w środowisku kwaśnym, a kończy trypsyna w środowisku zasadowym.

Człowiek jest kosmopolitą. Europejczyk mieszkający pod zwrotnikami musi izolować się od wpływu środowiska za pomocą ubrania, mieszkania, obuwia, lekarstwa i diety. Murzyn pod biegunem potrafi podobnymi sposobami stworzyć dla siebie znośne warunki bytu. Pantofelek jest kosmopolitą w najszerszym tego słowa znaczeniu. Żyje pod każdą szerokością geograficzną, w każdym klimacie, byle miał tylko do dyspozycji odrobinę wody słodkiej, słonawej, mętnej lub nawet cuchnącej. W szczelinach lodowców wypełnionych wodą, w torfowiskach i bagnach też czuje się dobrze. Pantofelek dostosował się nadzwyczajnie do różnych warunków życiowych i w związku z tym występuje w 7 (co najmniej) rasach. Przypomina to ludzkie stosunki, jedne rasy czują się lepiej pod zwrotnikami, inne na Himalajach, inne znów na Grenlandii.

Pantofelek ma zmysł smaku; dzięki niemu odróżnia pokarm od cząstek niestrawnych lub szkodliwych. Zjada jednak arsen lub ołów i ginie wskutek tego. Jego wykształcenie chemiczne nie jest zbyt rozległe; arsenu i ołowiu nie spotyka w warunkach naturalnych, nie potrafi przewidzieć skutków zjedzenia tych trucizn. Podobnie zresztą człowiek zjada grzyby trujące, o ile nie jest dostatecznie wprawnym grzybiarzem.

Człowiek kulturalny cierpi na sklerozę. Podobna choroba występuje u pantofelka. Jeżeli żyje w wodzie niezbyt czystej, o małej ilości tlenu, sole kwasu moczowego gromadzą się w określonym miejscu jego ciała (skleroza), pantofelek starzeje się i umiera. Przeniesiony dostatecznie wcześnie do zdrowszego środowiska pozbywa się groźnych dla życia soli i młodnieje.

Śmierć jest u pantofelka zagadnieniem bardziej zawiłym niż u człowieka. Jeżeli zwierzątko to żyje w pomyślnych warunkach, po ludzku powiedzielibyśmy — w dostatku — dzieli się po 24 godzinach na dwa osobniki. W rezultacie pierwotny osobnik, jako osobowość znika. Czy to jest śmierć? W tym wypadku zamiast zwłok zjawiają się dwa młode i rześkie osobniki. Najbardziej talmudystyczne rozważania nie doprowadzą do jasnej odpowiedzi na pytanie, czy obserwowany pantofelek zmarł czy jest nieśmiertelny. Za nieśmiertelnością przemawia następujące doświadczenie. Jeżeli pantofelek otrzymuje mało pokarmu, dzieli się na dwa potomne osobniki rzadziej.

Podział wypada raz na 2,5,10 lub więcej dni. Przy diecie wynoszącej mniej niż 200 000 bakterii na dobę, pantofelek żyje, lecz przestaje się w ogóle dzielić; udało się ten okres życia bezpodziałowego przedłużyć z jednego dnia na 120. Gdyby człowiek posiadał podobne zdolności, to w obozie koncentracyjnym przy pokarmie o wartości odżywczej nie przekraczającej 150 kalorii dziennie, żyłby zamiast 70 lat — 8 400. Ale wtedy obozy koncentracyjne minęłyby się ze swym przeznaczeniem.

Bliski kuzyn pantofelka Stylonychia odznacza się wielkimi zdolnościami odradzania utraconych części ciała. Jeżeli ciało przeciąć na pół, powstaną dwa całkowite, odpowiednio pomniejszone osobniki. Proces odradzania brakujących części łączy się z zupełną reorganizacją całego ciała. Żaden, nawet najdrobniejszy narząd nie utrzymuje się bez zmian. Wszystko się rozpada i buduje od nowa. Stylonychia posiada 18 rzęsek na powierzchni ciała. Na ucięcie jednej z nich pierwotniak odpowiada całkowitą reorganizacją, w wyniku której powstaje osobnik o 18 rzęskach. Pantofelek odradza tylko drobne ubytki swego ciała; zespół czynników hamujących uniemożliwia mu poważniejsze regeneracje. Podobnie ciało człowieka goi mniejsze lub większe rany, ale nie odtwarza utraconych narządów. Gdyby udało się zmniejszyć wpływy czynników hamujących regenerację, nastałaby nowa era dla chirurgii o możliwościach, których dziś nie można przewidzieć. Nie wolno było by jednak doprowadzić do możliwości takich, jakimi odznacza się Stylonychia. Wprawdzie po ucięciu palca u nogi całe ciało człowieka zdołałoby się przebudować zupełnie i odzyskałoby utracony palec, ale człowiek zapłaciłby za to cenę bardzo wysoką. Pierwotniak po takiej przebudowie „zapomina" bowiem wszystko, czego się w swym życiu nauczył i zaczyna zbierać doświadczenia od nowa. Człowiek dorosły po obcięciu palca i po związanych z tym przeobrażeniach zapomniałby nie tylko czytać i pisać, ale jak się nazywa, gdzie mieszka, czym się dotychczas zajmował. Życie społeczne stałoby się niemożliwe.

Życie pantofelka i innych pierwotniaków jest bogate i urozmaicone, o ile chodzi o ich reakcje na różne bodźce zewnętrzne. Świat ich przeżyć grupuje się dokoła kilku podstawowych potrzeb życiowych. Skala przeżyć człowieka jest znacznie obszerniejsza i bardziej urozmaicona. Ale te same prawa życiowe rządzą pantofelkiem i człowiekiem.

Książkę napisaną prosto, jasno i logicznie zrozumie każdy laik i znajdzie w niej wiele tematów do przemyślenia i wiele zachęty do obserwowania wszystkich zjawisk życiowych u zwierząt i ludzi. Piękny język polski, styl gładki i doskonałe rozplanowanie interesujących a nawet sensacyjnych szczegółów sprawiają, że treść książki przewija się przed oczyma czytelnika jak interesujący film.

P. Dembowski był przed wojną profesorem biologii na uniwersytecie w Wilnie. Ostatnie lata spędził w Moskwie jako attaché kulturalny. Niedawno powrócił do kraju i pracuje w Łodzi w Instytucie Nenckiego. Obecnie na zaproszenie British Council ma wyjechać na kilkutygodniowy pobyt do W. Brytanii.

Zygmunt Grodziński

*) **Jan Dembowski:** Historia naturalna jednego pierwotniaka. Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 211 i 1 nl.

BELETRYSTYKA

„CERVANTES"
Bruno Franka
przekład Wandy Kragen

Warszawa, Spółdzielnia Wyd. „Wiedza", 1948; str. 280.

W przekładzie Wandy Kragen otrzymaliśmy głośną powieść Bruno Franka pt. „Cervantes". Utwór ten jest cenny, gdyż zaznajamia nie tylko z postacią genialnego twórcy Don Kichota. Daje on wierny obraz czasów i środowiska, wśród którego żył i działał ten nauczyciel języka hiszpańskiego, żołnierz, niewolnik, poborca skarbowy, nieudały aspirant literacki. Powieść kończy się, gdy Cervantes zaczął pisać swego Don Kichota. Pierwsza edycja ukazała się w 1604 r. Cervantes zmarł w r. 1616 w Madrycie, w dn. 23 kwietnia. We wszystkich podręcznikach i encyklopediach dawno już ustalono stereotypowe wiadomości o jego pisarstwie i życiu. Powieść Bruno Franka przynosi wiele nowych faktów, innych niż te, które się zna z podręczników literatury.

Historycy hiszpańscy znaleźli wiele zmyśleń w jego życiorysie, oczyścili Cervantesa z różnych awanturniczych wydarzeń, ale te nie wyszły jeszcze poza Pireneje. Powieść Bruna Franka opiera się jednak o te krytyczne wiadomości, maluje jego życie w barwach mniej zawadiackich, zbliża postać poety i czyni ją bardziej ludzką. Przez utwór ten poznajemy Madryt, Toledo, Salamankę, Rzym, Algier. Wielką atrakcją jest mocne powiązanie opowieści o Cervantesie z panowaniem arcykatolickiego króla Filipa. Osoba tego monarchy w powieści Franka jest niemal tak sumiennie uplastyczniona, jak tytułowa postać. Znajdujemy tu i kilka historycznych osobistości jak papież Pius, Lope de Rueda, książe Don Juan d'Austria. Autora stać i na socjologiczne ujęcie wydarzeń z ówczesnej historii Hiszpanii. Powieść ta jest więc lekturą wielostronnie zajmującą. Interesuje nie tylko postacią Cervantesa, ale i zmierzchem potęgi hiszpańskiej. Filip przecież położył do grobu flotę hiszpańską. Anglia wyrosła na potęgę morską. Jedną z przyczyn było, iż monarcha ten więcej dbał o czystość krwi hiszpańskiej i prawowierność katolicką niż o fachowość swoich obywateli i produkcyjność ziemi, którą rządził.

Powieść Bruno Franka może być bardzo pożyteczną pomocą przy czytaniu Don Kichota. Stwarza ona właściwą atmosferę, która urobiła mentalność tego bohatera. Utwór o Cervantesie, jako beletrystyka o historycznym temacie, jest ciekawy i wartościowy, dla każdego czytelnika.

Stanisław Lubowicki

„ŻYCIE LISZTA"
Guy de Pourtalesa
Przekład Haliny Wierzyńskiej
Słowo wstępne Jarosława Iwaszkiewicza

Warszawa, Wydawnictwo J. Przeworskiego, 1948; str. 282.

Książka znanego dyplomaty Guy de Pourtalesa pt. „Życie Liszta" napisana po francusku tuż przed wojną 1939 r. osiągnęła wielką poczytność. Jest to niewątpliwie ciekawie opowiedziany w stylu „vie romancée" życiorys znakomitego wirtuoza i kompozytora centralnej osobistości europejskich wydarzeń muzycznych wieku XIX-go Franciszek Liszt nas Polaków interesuje jeszcze z tego względu, że znaczną część swego życia spędził u boku Karoli z Iwanowskich ks. Wittgenstein. Ona to sprawiła, iż Liszt — wirtuoz stał się kompozytorem. Liszt zresztą, jako wykonawca, wielce przyczynił się do upowszechnienia twórczości Fryderyka Chopina.

Jarosław Iwaszkiewicz w słowie wstępnym pisze: „Sztuka Liszta była w swoim czasie rewolucją i rewelacją. Najprzód jako pianista popchnął naprzód technikę fortepianową, doprowadził ją do niebywałej przed nim doskonałości. To, co osiągnął Liszt, jako technik, przygotowało cały impresjonizm muzyczny: od niego wywodzi swój ród faktura fortepianowa Ravela, Skriabina i Szymanowskiego".

Opowieść Guy de Pourtalesa zręcznie łączy przebieg codziennego życia znakomitego pianisty z jego osiągnięciami artystycznymi. Przewija się mnóstwo kobiet. Każda jest czymś dla jego tworzywa i sławy. Guy de Pourtales wiele korzystał z tego rodzaju materiału, co podnosi stronę prywatno-intymną jego opowieści. Plotka, jak wiadomo, zawsze snuje się koło każdej znakomitości. Plotka umiłowała Liszta specjalnie. Autor życiorysu wykorzystał wszelkie możliwe źródła, by opowieść o twórcy „Rapsodii węgierskich" uczynić zajmującą. Osiąga on przez ten intymny chwyt i to, że czytelnik zainteresuje się głębiej i dorobkiem artystycznym R. Wagnera, męża córki Liszta, Cosimy. Cała opowieść rzuca ciekawe światło na życie muzyczne XIX wieku. Działalność muzyczna jego zazębiała się o wszystkie znakomitości tego czasokresu.

Przekład Heleny Wierzyńskiej jest płynny i łatwy dla czytelnika. „Życie Liszta" Guy de Pourtales'a stanie się książką poszukiwaną nie tylko przez miłośników muzyki.

Leonard Dygas

DRAMAT

„HORYZONT AFRODYTY"
Stefana Flukowskiego

Kraków, Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik", 1947, str. 158.

„Horyzont Afrodyty", to wspólny tytuł trzech utworów dramatycznych Stefana Flukowskiego, znanego autora wystawianych w Krakowie sztuk: „Jajko Kolumba", „Odys u Feaków" i „Soczewica koło miele młyn". Ten wspólny tytuł w syntetycznym skrócie doskonale charakteryzuje treść trzech nowych dramatów Flukowskiego. Jest nią, ogólnie biorąc, tęsknota za ideałem, uosobionym w kobiecie, tęsknota, otwierająca jednak jak najszersze perspektywy na sens życia i śmierci. Tytuł pierwszej jednoaktówki brzmi: „Tęsknota za Julią", drugiej: „Gwiazda dwóch horyzontów" i trzeciej: „Chwila królewskiej niemocy". Są historyczne, bo główne w nich dramatis personae, to Szekspir, Tycjan, jego modelka Flora, cesarz niemiecki Karol V, król francuski Franciszek I i król polski Zygmunt August. Mimo wspólnej zasady ideowej, różnią się te trzy sztuki między sobą przede wszystkim odmiennym sposobem rozwiązania konfliktu dramatycznego, który oparty jest w każdej z nich na odwiecznej antynomii między snem a rzeczywistością, marzeniem a realizacją. Zarówno ten moment jak i gatunek artyzmu, operującego licznymi przemilczeniami i domyślnikami, spokrewnia je z tradycjami, które w literaturze europejskiej reprezentują Maeterlinck, Gide, Claudel, Cocteau i Dunsany, a w polskiej Norwid („Miłość czysta u kąpieli morskich") i Rittner („Odwiedziny o zmierzchu").

Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik" wyposażyła dramaty Flukowskiego w piękną szatę graficzną, ozdabiając ją całostronicowymi rysunkami Czesława Rzepińskiego, co nadaje książce charakter niemal bibliofilski.

Marian Piechal

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia". Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX 1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za książki: „Nowele włoskie" i „Nowa miłość".

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Zofia Nałkowska, Kazimierz Wyka, Stefan Żółkiewski.

WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY WYNOSI ZŁ 250 000

W NUMERZE 16 B. R.

PODANO OMYŁKOWO W RECENZJI,

że książka Słobodnika „Poufne" została wydana przez „Wiedzę", a nie jak jest w istocie przez „Książkę"

FILM

Oflag widziany przez gubernatora wyspy Jersey

„OFLAG XXVII" — FILM ANGIELSKI

Angielski „Oflag" skojarzył mi się z polskim „Ostatnim etapem". Mam wrażenie, że skojarzenia takie nasuwa coś bardziej zasadniczego niż przypadkowa zbieżność w czasie. Bo i cóż? Obóz jeniecki, to właściwie jedyny obóz, zorganizowany jak się to na Zachodzie mówi, przez „nazich", który Anglosasi znają z własnego doświadczenia. Dlatego my o Oświęcimiu, oni o oflagu.

Temat — trzeba przyznać — fotogeniczny, wdzięczny, proszący się o jakąś syntetyzowaną epopeję. I w tym właśnie „Oflag" przypomina „Etap". Kusi się o pokazanie całości, a nie jednostkowego wypadku. Ponieważ angielski film o obozie koncentracyjnym jest po prostu nie do pomyślenia, tym ciekawszy jest eksperyment z „Oflagiem".

Kryteriów oceny nam nie brak. I dla polskiego widza obóz jeniecki nie jest niczym nowym. Temat ten nie utracił do dziś aktualności dla wielu polskich autorów (ostatnio wydana powieść Sadzewicza, przygotowywane do druku opowiadania Wirpszy). Co prawda w obozach polskich oficerów wartownicy nie kupowali od jeńców papierosów i herbaty, a niejeden jeniec powędrował z oflagu do pieca krematoryjnego. Ale to już — jak mówi Kipling — zupełnie inna historia.

Wracając tedy do filmu wypada powiedzieć od razu, że część statyczna, czyli tło, odmalowano wiernie. Zwykły, szary dzień pensjonariusza oflagu jest przekonywający i nie budzi zastrzeżeń. Także częste przerzucanie akcji ponad frontami ku domom rodzinnym logicznie powiązano z całością.

Znacznie gorzej jest, gdy chodzi o akcję, tu bowiem wstępują na widownię Niemcy. Cała historia jest w ogóle nielogiczna: Czech, uciekinier z Dachau, który znalazł się we Francji w momencie jej klęski, uważa za najpewniejszą drogę ratunku udawać w obozie jeńców angielskiego oficera. Mało tego: mimo iż może go „wysypać" każdy z kilkudziesięciu mieszkańców baraku, a także najmniejsza nieostrożność, nasz Czech sam pcha się Niemcom w oczy, „zostając obozowym tłumaczem. Toteż nie współczujemy mu ani trochę, gdy natyka się na gestapowca Forstera, ekskomendanta obozu w Dachau.

W filmie angielskim — nie wiem czemu — nieliczni mądrzy i perfidni gestapowcy paradują z reguły po cywilnemu, umundurowane są tylko jakieś nieporadne głuptasy. To, ostatecznie, drobiazg. Znacznie jest gorzej, że tych samych Niemców przedstawia się jako formalistów, którzy na życie ludzkie dybią wtedy tylko, gdy uznają kogoś winnym. Czeskiemu uciekinierowi grozi śmierć bo popełnił przestępstwo — uciekł z obozu.

Jedyny urzędnik brytyjski, który w toku ostatniej wojny podlegał niemieckim władzom okupacyjnym, gubernator wyspy Jersey, nakazał z własnej, nieprzymuszonej woli ścigać osobnika, który nagryzmolił kredą na parkanie „Precz z Niemcami". Był to bowiem czyn nielegalny, a więc przestępczy. Punkt widzenia reżysera Deardena bliższy jest na pewno gubernatorowi wyspy Jersey niż reżyserce „Ostatniego etapu".

Widz polski dostrzega i inne rzeczy. Dlaczego — nie skorzystano z okazji zadokumentowania na tle obozowych drutów międzynarodowego braterstwa? Pamiętamy jeszcze francuskich „Towarzyszy broni" (La grande illusion), oflag z taśmy, gdzie ręka w rękę współdziałali Francuzi, Anglicy, Rosjanie...

Tym razem — typowe dla wyspiarzy „wspaniałe odosobnienie". Nawet rolę Czecha gra Anglik (Michel Redgrave), zaś zbrodniarz Czech (Karel Stepanek) jest właśnie gestapowcem Forsterem. Dziwny bigos.

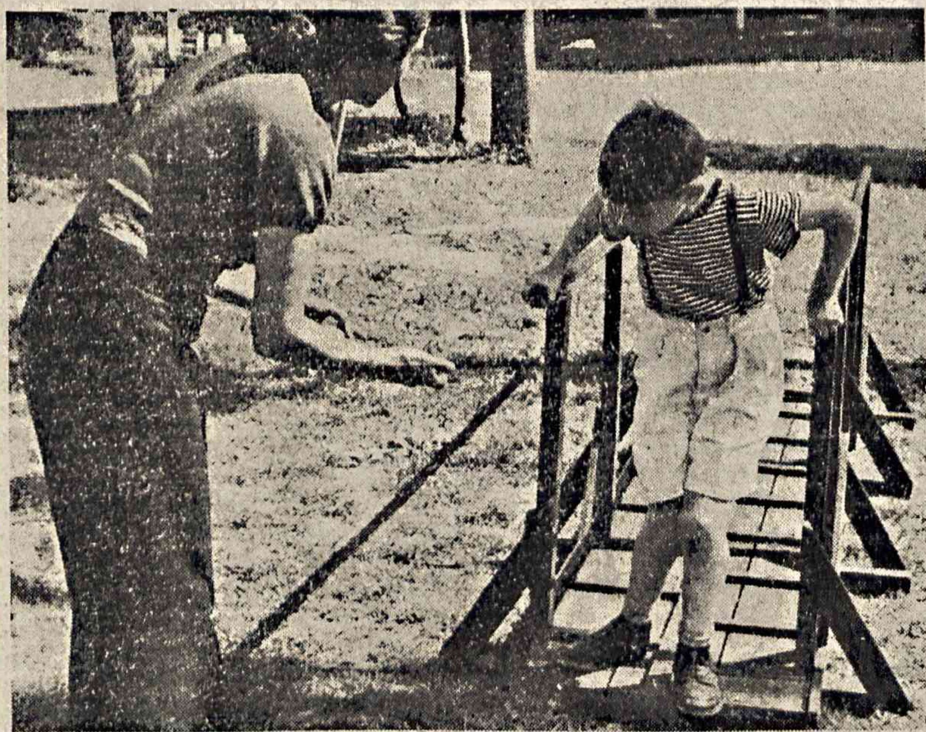
Mimo tych słabych stron film wart jest uwagi. Najmocniejsza scena filmu to apel na placu, podczas którego jeńcy zagłuszają płynące z megafonów dźwięki marsza „Wenn wir fahren, gegen England" śpiewem. Angielska piosenka bojowa to znana „Rosamunda", którą Niemcy ukradli aliantom wraz ze znakiem V.

Ta część akcji, która toczy się w kraju, wypada słabiej. Jest to kraj, widziany niby przez matową szybę, oczyma odciętych od świata więźniów. Mimo to, ze scen powrotów potrafił reżyser wykrzesać wiele ekspresji.

Wreszcie uwaga końcowa: wszyscy w czambuł reżyserzy angielscy lubują się w używaniu i nadużywaniu narracji. Obszerne komentarze mówione stoją w sprzeczności z istotą techniki filmowej. Ponieważ w powojennym filmie angielskim panują one nagminnie, należy zwrócić baczniejszą uwagę na te maniery, która może okazać się zaraźliwa.

Jerzy Pławski

Filmy dokumentarne ONZ



Scena z filmu „Pierwsze kroki"

Oglądałem pierwsze filmy dokumentarne, nakręcane przez wytwórnię filmową Organizacji Narodów Zjednoczonych „Karta narodów", pokazuje w skrócie przebieg wypadków — tak radosnych jak i tragicznych — które doprowadziły do stworzenia ONZ. Widz polski ma sposobność oglądania historycznych momentów, jak podpisanie Karty Atlantyckiej, Konferencja w Moskwie i San Francisco oraz pierwsze posiedzenie ONZ. Te zdjęcia „oficjalne" stanowią jednak tylko nieznaczną część tej krótkometrażówki, a prawdziwą jej treścią są fragmenty nakręcone przez operatorów wszystkich krajów, przedstawiające dzieje wojny i pokoju, walki i odbudowy na całym świecie.

Film „Pierwsze kroki", posiada już wersję polską i gotowy jest do wyświetlania na naszych ekranach. Opowiada on o leczeniu dzieci dotkniętych paraliżem w specjalnym sanatorium na wolnym powietrzu w Stanie Nowy Jork. Film stanowi interesujące ilustracje walki człowieka z kalectwem. Jesteśmy świadkami mozolnej walki dziecka dotkniętego paraliżem o możność poruszania się; obserwujemy etapy tej wielkiej walki od niezdarnych pierwszych kroków do samodzielnego chodzenia po ulicy. „Pierwsze kroki" nagrodzone zostały przez Akademię Sztuk i Nauk Filmowych w kategorii filmów krótkometrażowych.

ONZ rozprowadzać będzie swe filmy bezpośrednio przez swój Komitet Filmowy. Niezawodnie, filmy te przyczynić się mogą do wzajemnego zrozumienia między narodami. Nie sposób na podstawie tych dwóch oglądanych filmów, mówić o dotychczasowych osiągnięciach akcji, ale cel, jaki jej przyświeca, wart jest wysiłku i poparcia.

Lucjan Wolanowski

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI*)

SOLIDNY INTERES

Sprzedaję szczęście niebieskie (z prawem reklamacji).
Uczciwy kupiec ma solidny towar.
Niejeden klient już umarł od czasu transakcji.
Roczek już minął. Nikt nie reklamował.

O LAURACH SATYRYKÓW

A satyrykom wiją wieńce z laurowych liści,
przez nich wierszem chłostani wdzięczni masochiści.

*

Różnie się człowiecze rozwidlają losy:
Jedni piszą wiersze a drudzy donosy.
Gdy talenty obo jednemu są dane,
pisze donosy pięknie wierszowane.

*

Pytał się garbus nad lustrzaną rzeką:
„Czy wielbłąd zrodzony bez garbu jest kaleką?"

O ORYGINALNOŚCI NASZYCH NAJMŁODSZYCH WIESZCZÓW

On pierwszy zrymował biskupa z siedzeniem,
On pierwszy przyrodę związał z przyrodzeniem,
On pierwszy dziewicę przyrównał do lilii.
On pierwszy.... w swojej familii.

*) Wkrótce ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka" tom fraszek i satyr Stanisława Leca pt. „Życie jest fraszką".

Notatnik muzyczny

Imre Ungar, XXXI koncert symfoniczny



rys. Marek Rudnicki

Na XXXI koncercie symfonicznym Władysław Kędra wykonał pod batutą M. Mierzejewskiego Toccatę Jana Kreuza na fortepian z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej i „Fantazję kujawską" Witolda Maliszewskiego na fortepian i orkiestrę symfoniczną. W ten sposób mieliśmy w programie tym trzy dzieła polskie, wykonana bowiem została w drugiej części koncertu II Symfonia Kazimierza Sikorskiego.

Trzy dzieła, reprezentujące trzy pokolenia, — od Maliszewskiego ucznia Rimskiego Korsakowa, poprzez Sikorskiego do Kreuza, który należy do najmłodszego dziś pokolenia naszych kompozytorów. Dzieło Kreuza pisane było w 1943 r przez dwudziestojednoletniego wówczas autora.

Wykazuje ono więcej niż przeciętny talent. Trudna mieszanina barwy fortepianu i orkiestry smyczkowej, dobre wyzyskanie tematyki i solidna budowa nie zabijają świeżej werwy, która pulsuje z całości. Jedynie przy końcu miałbym zastrzeżenie co do faktury fortepianowej, której brawura wydała mi się — przy pierwszej audycji — nieco naiwna czyli artystycznie bezsilna w stosunku do zamierzenia autora.

II Symfonia Sikorskiego jest przykładem „murowanego" brzmienia orkiestry, świadomych efektów muzycznych i instrumentalnych, szerokiej rozbudowy formalnej. — Sikorski umie wyzyskać tematy i nie boi się „rozwinięcia" ani polifonii. Pozycja Sikorskiego w naszym życiu muzycznym przypomina znaczeniem swym tę, którą w życiu muzycznym Francji odegrał Vincent d'Indy. Podkreślam, że chodzi mi tu o znaczenie, nie o muzykę Sikorskiego.

Taka solidność potrzebna jest każdej szkole. W II Symfonii jednak brak mi tego jakiegoś bezwzględnego uporu artystycznego, może to jest upór w samej koncepcji, który sprawia, że dzieło sztuki staje się czymś niezwykłym, przeskakuje zagadnienia faktury i zadziwia prostotą czy jedynością swego oblicza: oblicza swego twórcy.

Czekamy na koncert klarnetowy z orkiestrą Sikorskiego, którego twórczość daje zawsze dzieła o wielkiej solidności artystycznej.

Eklektyczna „Fantazja kujawska" Maliszewskiego jest rodzajem świetnie brzmiącej wiązanki motywów ludowych. Można i warto to grać, byle nie za często. Partia fortepianowa jest fortepianowa, czasami u Bałakirewa, a orkiestra jest instrumentalna jak u Korsakowa.

Słysząc Kędrę, który odegrał kilka „Chopinów", z polonezem As-dur na „bis", myślałem tym razem „jak świetnie on gra te oktawy", zamiast przestać myśleć o oktawach, pasażach i innych, nieskazitelnych szczegółach wykonania.

Jego gra na ostatnim koncercie przypominała olśniewające ćwiczenie wspaniałego pianisty. Może wrażenie to pogłębiał fakt, że Kędra grał dwa nieznane mi dzieła z literatury współczesnej — za co należy się temu pianiście szczególnie gorące uznanie.

„Coriolan" Beethovena, odegrany na wstępie, poprowadzony był z wielkim nerwem i świetną interpunkcją przez Mierzejewskiego, a „Wełtawa" Smetany zamknęła program swą piękną kantyleną, która zapewni jej jeszcze długo powodzenie na wszystkich estradach.

Recital Ungara — o którym pisałem już w ostatnim „notatniku" — ukazał nam artystę dużego formatu.

Po fantazji chromatycznej Bacha i dwu sonatach, Mozarta (Es-dur) i Beethovena (As-dur, op. 110) wykonał Ungar 24 preludia Chopina. Niezwykły ten cykl, jeden z najdziwniejszych i najpiękniejszych w literaturze muzycznej, a tak rzadko wykonywany w jednym programie, znajduje w Ungarze idealnego interpretatora. Już w adagio ma non troppo, poprzedzającym końcową fugę w sonacie Beethovena, wykazał Ungar te wartości, których opis słowami mija się z celem. Trzeba być i słyszeć, pisać o tym nie ma sensu. Jeżeli — mimo to — piszę, to tylko po to by jakoś utrzymać słodkie jarzmo recenzeckie.

Gdy myślę teraz o preludiach Chopina, to słyszę Ungara. Sądzę, że jest to najwyższe osiągnięcie wirtuoza, móc dać słuchaczom taki prototyp wykonywanego przez siebie dzieła.

Nie znaczy to, by preludia Chopina miały być tak grane przez innych, jak je gra Ungar. Ungar robi rzeczy okropne. Robi mnóstwo rzeczy „niewłaściwych", żeby przytoczyć tylko ową sławetną lewą rękę o której się mówi, że powinna grać równo (np w XIX preludium), a która u Ungara tańcuje — zdawało by się — „jak chce". Lecz Ungarowi wszystko wolno. Tylko wielkim artystom wszystko wolno. Z Paderewskim było tak samo. Robił rzeczy niemożliwe, a grał wspaniale.

Lecz najdziwniejsze były rzeczy najprostsze, te preludia, które wszyscy grają lub czytają: IV, VI, VII, XX c-moll, w którym decrescendo i ledwie uchwytne rallentando wykonane było tak równomiernie, że przypominało mi niektóre, „najwyższej klasy" tańce hinduskie, w których gest opanowany jest z precyzją nieosiągalną dla Europejczyka.

Jeżeli po pierwszym koncercie z orkiestrą pisałem o Ungarze z pewną rezerwą, widząc w nim przede wszystkim fenomen woli, która zwalczyła ciemności, w jakich ten niewidomy pianista przebywa — to po jego recitalu uważam że nie należy nawet o tym wspominać. Wartości gry Ungara stawiają go w rzędzie tych którzy całą masę dzieł — romantycznych przeważnie — wykonują z idealnym artyzmem i zrozumieniem, osobistym wprawdzie, lecz narzucającym swą koncepcję i liryzm słuchaczom.

Zygmunt Mycielski

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „**Camera obscura**". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć — na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Bronisław G. Chęciński, Łódź, Bednarska 7 m. 9, za ofiarność i wytrwałość w dostarczaniu wycinków dla naszego działu.

PILZNO — PIZZA — PIZA

Z „Expressu" dowiadujemy się, że:

Włoskie miasto Pizza ma swój „eksponat" dla turystów — krzywą wieżę. Warszawa ma natomiast krzywy słup ogłoszeniowy na rogu Koszykowej i Raszyńskiej. Mieszkańcom Krzywa wieża w Pilźnie nie Grozi niebezpieczeństwem, ale mieszkańcom stolicy ten słup ogłoszeniowy może się zwalić na głowę.

Po wypiciu beczki pilzneńskiego piwa, każda wieża wydaje się krzywą wieżą, a włoskie miasto Piza — PPiizzaa.

PROBLEM WODY

„Rzeczpospolita i Dziennik Gospodarczy" alarmują:

Problem wody jest od szeregu lat tematem dyskusji naszych ekonomistów i inżynierów. Polsce potrzeba około 200 miliardów ekonomistów i inżynierów.

Nieprawda! Na próżno panowie ekonomiści i inżynierowie tyle lat dyskutowali!

SPRAWA LOLI

Zofia Karczewska - Markiewicz pisze w recenzji ze sztuki Anny Świrszczyńskiej „Strzały na ulicy Długiej":

Eksplozja mocna, jasna, zdecydowana, wprowadza widza w samą istotę problemu moralnego. Jedność akcji i jedność miejsca skupiają uwagę na centralnym zagadnieniu sztuki, pomagają rozgryzać dokładnie „sprawę Loli".

Rozgryzamy, ale nie możemy rozgryźć, o jaką to chodzi eksplozję...

Z CYKLU: TYTUŁY „WIECZORU"

W reportażu z wyścigów na Służewcu znajdujemy taki podpis pod fotografią:

BOMBA W GÓRZE!

Teraz już wszystko w rękach konia...

A reporter napisał to, oczywiście nogą!

PROZA

Z niesłabnącym zainteresowaniem czytamy powieść Jerzego Szeligi w „Dzienniku Bałtyckim":

ROZDZIAŁ VIII.

Była już noc, gdy Karcz podniósł się i zapalił światło. Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina 10. Zdziwił się, bo sądził, że od wizyty koleżanki żony upłynęło już kilkanaście godzin. W pustym, pozbawionym Krystyny pokoju czas sączył się wolno, spadał ciężkimi kroplami, odchodził niechętnie, jakby drażniąc się z jego smutkiem... Stanął przed lustrem i zobaczył, że twarz ma zmęczoną i szarą. Zdjął mundur i poszedł do łazienki.

(Ciąg dalszy jutro)

W łazience stwierdził zdumiony, że wanna wypełniła się po brzegi owym sączącym się czasem.

HUMOREK JEST

W „Dzienniku Łódzkim" znajdujemy następującą notatkę:

KUKŁA NA SZNURZE

W mieszkaniu własnym popełnił samobójstwo przez powieszenie Jan Kukła (ul. Szklana 15).

Znów przypominamy, że poczucie humoru polega na jasnej świadomości z czego wolno i z czego nie wolno żartować.

PRZEKŁAD

„Express Poznański" ogłasza artykuł o Ludwiku Solskim dr. Jaromíra Doleżala. Przekładu z czeskiego dokonał A. J. Kamiński:

Niemal co do dnia przed laty czterdziestu miałem to rzadkie szczęście, że poznałem tego wspaniałego aktora bliżej w Krakowie, gdzie był nie tylko dyrektorem teatru, ale i jego najwybitniejszym aktorem.

Albo:

Jeszcze dzisiaj brzmi mi w uszach tęskne wołanie: „miałeś chamie złoty róg ostał ci się jeno sznur..." I owa strasznie smutna melodia, przy której cały zespół tańczy nad swoją tragedią. To było dzieło wielkiego artysty, z którym podówczas grała jeszcze jego pierwsza żona pani Irena.

Ze zgrozą myślimy o tym czy A. J. Kamiński nie tłumaczy także z polskiego na czeski!

DOWÓD RZECZOWY

W „Jedności Mazowieckiej" znajdujemy taki fragment reportażu z uroczystości pierwszomajowych:

W czasie przemówień z balkonu Ratusza nad głowami tysięcy uczestników 1-Majowego zgromadzenia ukazał się bocian, potwierdzając jakgdyby słowa jednego z mówców, że 1 Maj przypada w początkach wiosny...

Zdawałoby się, że tak oczywisty dowód jak przelot bociana przekonał uczestników uroczystości. Skądże? Uparli się, twierdząc, że bocian ów odlatywał właśnie do Heluanu na zimę. Zrozpaczony mówca rozebrał się wobec tego do koszuli, by w ten sposób przekonać niedowiarków, że przecież jest wiosna. Nie uwierzyli. Mówca, doprowadzony do ostateczności, uderzył wreszcie laseczką w głowę autora reportażu i stał się cud. Z głowy trysnęła czysta woda. Dopiero ten widomy dowód wiosennych roztopów przekonał niedowiarków...

KORESPONDENCJA

Do redaktora „Odrodzenia"

JESZCZE W SPRAWIE BŁĘDÓW JĘZYKOWYCH

W związku z listem świetnego autora — laureata, p. Kazimierza Brandysa („Odrodzenie" nr 21) muszę:

1) przyznać się do zbyt pochopnego doszukiwania się błędu językowego w pewnym zdaniu „Miasta niepokonanego". Istotnie, należało się domyślić, że to było przeoczenie korektorskie. I mnie również przykro, że „skomplikowałem sprawę tak prostą". Mea culpa!

2) wyrazić żal, że p. Kazimierz Brandys nie poparł przykładami swego twierdzenia o błędnym używaniu przypadków przez klasyków naszej literatury. Było by to bardzo interesujące, jako że tutaj sprawa nie jest tak prosta. W języku Mickiewicza np napotykamy takie formy: „lat blisko dwadzieście", „chłopcowi", „wynalazł dwie babie", „dwiestu strzelców" (wszystko cytaty z I księgi „Pana Tadeusza") — a przecież nikt nie może twierdzić, że są to formy poprawne we współczesnym języku polskim. Autorytet nawet tak wielkiego poety niewspółczesnego nie jest więc wystarczającym sprawdzianem poprawności lub błędu. To jedno.

Drugie — to węższa sprawa takich form, jak **„pilnując wzrok"** i **„zapomniałem numer"**, których to form p. Kazimierz Brandys zdaje się nie uważać za błędne i które pono „zdarzają się w tekstach klasyków naszej literatury". Wziąłem do ręki „Pana Tadeusza", „Ogniem i mieczem" oraz „Placówkę" i bez trudu wynotowałem kilkadziesiąt przykładów, które świadczą, że Mickiewicz, Sienkiewicz i Prus nie stawiali czwartego przypadku tam, gdzie język polski wymaga drugiego. Oto niektóre z tych przykładów:

„ja tu będę **pilnować zamku**" (PT, ks. V), „szukając sług" (PT, ks. VI), „cudów dokazał" (PT ks. VI), „tajemnic dochował" (PT, ks. VIII), „dobył szpady" (PT, ks. IX), „szukałeś wzroku mego, szukałeś rozmów ze mną" (PT, ks. VIII),

„każdy **pilnował swoich gruntów**" (Placówka, str. 66), „Ślimak całkiem **zapomniał języka**" Pl., str. 77), „drew urąbał", „wysłuchał tego" (Pl., str 11), „kiedy ci się zachciało krowy" (Pl. str. 28);

„pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał" (Ogniem i mieczem tom I, str. 7), „Wojny szukałem, czystości dochowałem" (tamże, tom I, str. 52) „oczekując niezwykłych wydarzeń (tamże, tom I, str 6).

Nie mam powodu nie wierzyć, że p Kazimierz Brandys może przytoczyć — jak twierdzi w swoim liście — przykłady akurat odwrotne. Gdyby zechciał to zrobić, powstałby wielki znak zapytania, co jest błędem u klasyków a co nim nie jest, i wówczas było by bardzo pożyteczne, aby zabrał głos w tej sprawie któryś z naszych wybitnych znawców języka. Może prof. dr Witold Doroszewski?

Henryk Korotyński (Warszawa)

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-43783 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"